Nr. 45. Warszawa, dnia 10 Listopada (29 Października) 1894 r. Rok XIV.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

***Adres: Zórawia Nr. 34.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



## NAJWYŻSZY MANIFEST.

Z BOŻEJ ŁASKI

### MY, MIKOŁAJ II,

**Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki etc. etc. etc.**

wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym — Bogu Wszechmocnemu podobało się w niezbadanych wyrokach swoich przerwać drogocenne życie gorąco kochanego Rodzica Naszego, Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana Aleksandra Aleksandrowicza. Ciężka choroba nie ustąpiła ani przed leczeniem, ani przed dobroczynnym klimatem Krymu i d. 20 października Jego Cesarska Mość zakończył życie w Liwadyi, otoczony Swoją Najdostojniejszą Rodziną, na rękach Jej Cesarskiej Mości, Najjaśniejszej Pani i Naszych.

Boleści Naszej niepodobna wyrazić słowami, ale zrozumie ją każde serce ruskie i wierzymy, iż nie będzie miejsca w rozległem Naszem Państwie, gdzieby się nie lały łzy gorące po Monarsze, który przedwcześnie przeniósł się do wieczności i opuścił ziemię ojczystą, ukochaną przez Niego całą siłą Jego ruskiej duszy i dla szczęścia której poświęcał wszystkie Swoje myśli, nie szczędząc ani zdrowia, ani życia. I nie w Rosyi tylko, ale daleko po za jej granicami nigdy nie przestanie być czczoną pamięć Monarchy, uosabiającego niewzruszoną prawdę i pokój, ani razu nie zakłócony przez całe Jego panowanie.

Lecz niechaj będzie świętą wola Najwyższego i niechaj krzepi Nas niezachwiana wiara w mądrość Opatrzności Boskiej; niech pocieszy Nas świadomość, że boleść Nasza jest boleścią całego ukochanego ludu Naszego i niech lud ten nie zapomina, że siła i moc świętej Rosyi leży w jej jedności z Nami i bezgranicznej wierności dla Nas. My zaś w tej bolesnej lecz uroczystej godzinie wstąpienia Naszego na Prajcowski Tron Cesarstwa Rosyjskiego i nierozdzielnych z Niem Królestwa Polskiego i Wielkiego Księztwa Finlandzkiego, pomni na Spuściznę zgasłego Rodzica Naszego i przejęci nią, czynimy święty ślub przed obliczem Najwyższego, że zawsze jedynym celem Naszym będzie rozwój pokojowy, potęga i chwała ukochanej Rosyi, tudzież zapewnienie szczęścia wszystkim Naszym wiernym poddanym. Niechaj wspomaga Nas Bóg Wszechmogący, któremu podobało się powołać Nas do tej wielkiej służby.

Zanosząc gorące modły do Tronu Wszechmocnego o spokój czystej duszy Niezapomnianego Rodzica Naszego, Rozkazujemy wszystkim Naszym poddanym złożyć przysięgę na wierność Nam i Następcy Naszemu Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Jerzemu Aleksandrowiczowi, Który ma być i nosić tytuł Następcy Tronu Cesarzewicza, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić urodzeniem Syna przyszłego związku Naszego z Księżniczką Alicyą Hesko-Darmsztadzką.

Dan w Liwadyi, roku od narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego czwartego, Panowania zaś Naszego pierwszego, dnia dwudziestego października.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości Ręką podpisano:

**MIKOŁAJ.**

## POLITYKA.

### „BEUTEZUG."

Teoretycy mieszczańscy usiłowali z kategoryj społecznych zetrzeć wszelkie piętno względności. Brakło im zmysłu historycznego. Wolny handel i protekcyonizm, centralizacya i decentralizacya stały się dla nich pojęciami oderwanemi, bez związku, na pozór, z realnemi potrzebami chwili. Skrojono z nich szatę, godną dla wszystkich miejsc i na wszystkie czasy. Zatem rozbierano np. zasadę centralistyczną z możliwych punktów widzenia, nawet z etycznego i „logicznego." Zapomniano lub nie chciano o tem wiedzieć, że tego rodzaju hasła są tylko głosami praktycznymi, wysuwanymi przez tę lub inną grupę interesów społecznych. Jak adwokat swoje oburzenie, tak pewna warstwa głosi centralizacyę lub zasady federalistyczne, aby usunąć je, gdy staną się bezużyteczne lub szkodliwe. Przewybornej po temu ilustracyi dostarczyła Rzeczpospolita szwajcarska w ostatnim miesiącu, aż póki referendum w dniu 4 listopada nie przekazało sprawy do archiwum dziejowego.

Namiętności polityczne zabierają głos podobnie w Szwajcaryi, jak gdzieindziej. Przez historyę tego zbioru państewek-kantonów, od czasu Reformacyi, ciągnie się waśń pomiędzy katolikami a protestantami. Niesnaska religijna, pod którą w gruncie rzeczy ukrywa się przeciwstawienie ubogiego rolnika, siedzącego w dolinie górskiej, jak ślimak w swojej skorupie, a przemysłowego mieszczucha, posiadającego trzos pełny i widnokręgi, obejmujące nietylko gród rodzinny — wybuchała nawet niekiedy płomieniem wojny bratobójczej. Ostatni akt taki, pełen szczęku oręża i kurzu krwi bratniej, odegrał się niespełna przed pół wiekiem. Kantony ultramontańskie, liczebnie słabsze, musiały się ukorzyć; protestanci obejmują hegemonię w Związku i zaczynają rej wodzić w rządzie faderacyjnym. Walka nie ustaje, tradycya nienawiści rasowej żarzy się w ukryciu, ale zapasy toczą się na arenie parlamentarnej. Protestanci, wychowani wśród szumu nowożytnej fali wytwórczej, wywieszają hasło centralistycznego zrównania i szablon fabryczny chcieliby wprowadzić w urządzeniach państwowych; tymczasem ultramontanie, i z natury otoczenia, i z interesów swojej partyi, stoją murem przy zasadzie decentralizacyi, możliwie najdalej posuniętej.

Ale życie robiło swoje. Owo substratum, na którem wyrósł *bourgeois* liberalny i z którego zaczerpnął wątku do programów centralistycznych, panoszyło się coraz bardziej w Związku. Wraz z torem ko-

lejowym i drutami telegraficznymi centralizacya wciskała się w ustronia górskie i czyniła w dawnej konstytucyi wyłom coraz szerszy. Po nad państewkami-kantonami wyrasta coraz więcej państwo związkowe. Ultramontanie sprzeciwiają się tej logice rozwoju dziejowego, ale opór słabnie w swojej mocy. Odczuli bowiem pewien pożytek z zasady ogólno-państwowej. Kasa związkowa, zasilana przeważnie przez kantony zamożne, protestanckie, coś odkłada ze swojej zawartości na rzecz biedniejszych: drogi górskie, zapobieganie spadkowi lawin przez zasadzenie lasów na urwiskach, regulacya potoków, wszystkie te rzeczy, tak kosztowne, zostały dokonane za pieniądze związkowe. Ultramontanie na ustach mieli dawną gorycz dla centralizacyi, ale w sercu było jej coraz mniej. Wreszcie przyszli jezuici z właściwym sobie zmysłem do geszeftu. Usadowili się we Fryburgu i tam założyli uniwersytet, w którym nie jedno z pośród piskląt naszych nabiera mądrości—bo tak każe szyk z tonem dobrym. Ale na wielkie cele zabrakło marnej mamony. Z alarmem buńczucznym sprobowano loteryi. zawiodła. Naówczas synowie Loyoli wpadli na myśl, żeby wyzyskać istniejącą centralizacyę. Zadanie było proste: niechaj kasa państwowa będzie jako kura, niosąca darmo złote jaja dla Fryburga i S-ki. Ultramontanie, korzystając z inicyatywy, wnieśli podanie, aby skarbiec publiczny ze swoich funduszów wypłacał każdemu kantonowi haracz, w stosunku dwóch franków od obywatela. Do kantonów katolickich przyłączyły się inne, wiejskie i nad Związkiem zawisła groźba, że będzie musiał płacić daninę drobnym państewkom z własnej kasy, dość szczupłej wobec tego, że militaryzm krzewi się też w drobnej rzeczpospolitej szwajcarskiej, wyzwany potrzebą obrony przed żarlocznością wielkich sąsiadów. Federaliści z nienacka zaczęli nucić melodyę centralistyczną. W Szwajcaryi zrobiło się gwarno. Żywioły mieszczańskie z oburzeniem przyjęły wiadomość o inicyatywie jezuitów i o łapczywości wieśniaków. Wszak skarbiec publiczny czerpie swoje dochody z ceł, te zaś są uiszczane niemal jedynie przez przemysł miejski! Zatem górale sięgają nie po grosz własny, lecz wyruszają na rozbójniczy *Beutezug*, tylko że czas zrobił swoje, więc na wyprawę wychodzą inaczej, niż to czynili ich praojcowie. Rabusie chcą ograbić kasę państwową! Najgorsze, że apetyt wzrasta silniej wtedy, gdy się zacznie smakować w jadle. Więc po podatku dwufrankowym przyjdą czasy haraczu, może pięć razy większego. Zurych i Bazylea za pieniądze, wyjęte z sakwy swoich mieszkańców, będą utrzymywały szkoły w gminach górskich... I mieszczaństwo, dotychczas do szpiku kości centralistyczne, przebąkuje o tem, że zanadto dużo centralizacyi jest w życiu, ten i ów zżyma się nawet na inicyatywę i referendum, które podkopują wszechwładzę kalety mieszczańskiej.

Referendum, które odbyło się 4 listopada, odparło zastępy *Beutezug'u*; ultramontanie, pobici, nie prędko wyciągną rękę do skarbca i na razie może wrócą do haseł federalistycznych. Ale nauka moralna pozostanie następująca: centralizacya, względnie decentralizacya, są to nie ideały wartości bezwzględnej, ale rynsztunki bojowe i języki interesu. Kto potrzebuje, wysuwa je, kto nie—chowa. A życie, wśród splotu żądz partyjnych, toczy swoje fale dalej i rozszerza łożysko. Centralizacya i federacya będą tam wciąż się ścierały, póki nie przestanie istnieć sprzeczność interesów.

*Ż.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Czynnikiem, dostarczającym w ostatnich dniach pewnych wzruszeń, są mowy. Jedną z nich, dość dawno oczekiwaną, wygłosił lord Rosebery w Bradfordzie wobec pięciu tysięcy przedstawicieli obozu liberalnego. Nietylko ta rzesza, lecz cała Anglia natężyła uwagę, bo tu chodziło o sprawę wielkiej wagi — reformę Izby lordów. Przez lat 60 stoi ona sztywna, skostniała, gdy w tym samym czasie Izba niższa trzykrotnie ulegała reformom w duchu coraz wybitniej demokratycznym. Stąd wytworzyło się ciało żywe obok dotkniętego częściowo paraliżem, które stoi na przeszkodzie wszelkim pożytecznym przedsięwzięciom rządu. Izba wyższa — to organ klasowo-partyjny, broniący jedynie interesów zachowawczych i bardzo często nadużywający swego stanowiska. Zdaniem mówcy, kwestya ta stała się wielką, narodową, ale tak powikłaną, że jej rozwiązanie należy do zadań trudnych, które trzeba przeprowadzić oględnie i tylko za zgodą obu części prawodawczych. Inne środki jużby wkroczyły w dziedzinę rewolucyi. Otóż życzeniem rządu jest, ażeby Izba niższa wypowiedziała lordom walkę na tej podstawie, że większe niż oni posiada znaczenie. Po przeprowadzeniu tej uchwały rząd przedstawi ją krajowi i następnie losy Izby wyższej będą zależeć od wyniku głosowania. Tak mniej więcej brzmi zasadnicza treść mowy premiera. Odpowiedział na nią główny przywódca opozycyi, lord Salisbury, w Edynburgu, również wobec kilku tysięcy osób. Wziął w obronę organizacyę lordów i chcąc przekonać, że nie stawia ona przeszkód reformom poważnym, uczynił przegląd jej zasług. Zaznaczył, że w ciągu lat 60 w żadnym kraju nie uskuteczniono tyle, co w Anglii, przekształceń ważnych, i to zupełnie spokojnie. Zdaje się jednak, iż pomimo tak szczerej obrony, kwestya zreformowania Izby lordów przybierze wkrótce poważny charakter.

W Niemczech silne wrażenie sprawiła wypowiedziana przed paru dniami mowa posła wolnomyślnego, Bartha, w Głogowie. Oświadczył on, że zmiany berlińskie zwiastują rządy junkierstwa pruskiego. Caprivi upadł, bo nie umiał spraw powszechnych zharmonizować z interesami stronnictw; nie potrafił być nieprzyjacielem swych nieprzyjaciół. Kto poniesie koszt zmiany? — Mieszczanie, wieśniacy i robotnicy. Tymczasem z wielką szkodą ogólną stronnictwa liberalne wiodą spory zaciekłe. Wkrótce jednak reakcya posunie się tak dalece, że wszelkie żywioły liberalne będą musiały zjednoczyć się dla własnej obrony.

---

5)

Piotr Loti.

## ŻYCIE DWÓCH KOTEK.

Życie kota trwać może dwanaście do piętnastu lat—jeśli żaden szczególny nie zajdzie przypadek.

Obie kotki ujrzały jeszcze razem przepych drugiego, rozkosznego lata; jak dawniej oddawały się marzeniom o towarzystwie Sulcimy (wiecznie żyjącej żółwicy), wśród kwitnących kaktusów, na rozpalonych przez słońce kamieniach, lub też marzyły same na szczytach starych murów, w gęstwinie powojów i róż białych. Miały kilkoro małych, które czule zostały wychowane i dobrze następnie w sąsiedztwie umieszczone; nawet dzieci chinki łatwy miały odbyt i były bardzo poszukiwane, wskutek oryginalnej powierzchowności.

Ujrzały jeszcze i drugą zimę i powrócić mogły znowu do długich drzemek przed kominkiem. do rozmyślań głębokich wobec zmiennego obrazu głowni i płomieni. Lecz był to już ostatni okres szczęścia i wkrótce potem rozpoczął się czas zaniku. Z początkiem następnej wiosny nieokreślone jakieś choroby zaczęły niszczyć dziwne te istotki, które jednak miały prawo do kilku jeszcze lat życia.

Chińska Moumoutte, pierwsza chorobą tknięta, zaczęła objawiać jakiś zamęt umysłowy, czarną melancholię — może tylko tęsknotę za odległą swoją ojczyzną mongolską. Nie jedząc, ani pijąc, przesiadywała całymi dniami nieruchoma na jednem miejscu. na szczycie murów i na wszystkie nasze wołania odpowiadała tylko rzewnem spojrzeniem i cichem, żałosnem „miau.“

Biała Moumoutte również z nastaniem pierwszych, pięknych dni zaczęła kaprysić, w kwietniu zaś obie były poważnie chore.

Wezwani weterynarze przepisali — bez śmiechu — rzeczy wprost do przeprowadzenia niemożliwe. Jednej — pigułki rano i wieczorem i kataplazmy na brzuszek! Drugiej — hydroterapię; kazali ostrzydz ją do skóry i robić dwa razy dziennie silne zimne tusze!.. Nawet Sylwester, który je ubóstwiał i kaprysom ich, jak nikt, był powolny, oświadczył, że wszystko to razem jest niemożliwe. Natenczas zwróciliśmy się do leków znachorek; sprowadzono baby, przestrzegano ich przepisów — ale bez skutku.

Kotki gasły, zostawiając w nas żal wielki. Ani wiosna piękna, ani jej słońce nie zdołały zbudzić ich ze śmiertelnego odrętwienia.

Pewnego razu rankiem, kiedy powróciłem był właśnie z podróży do Paryża, Sylwester, odbierając mój kuferek, mówi mi smutnie: „Proszę pana, Chinka nie żyje.“

Ona, taka stateczna, nie opuszczająca nigdy domu znikła przed trzema dniami. Nie ulega wątpliwości, że czując bliski swój koniec poszła sobie, powodowana tą subtelną, najwyższą wstydliwością, skłaniającą niektóre stworzenia do ukrycia się na chwilę śmierci. „Przez cały tydzień, proszę pana, siedziała tam, na tym czerwonym jaśminie, nie schodząc wcale, aby zjeść lub wypić cośkolwiek. Odpowiadała jednak zawsze, ilekrotnie do niej przemówili, ale głosem takim cienkim, takim cichym!“

Gdzież więc biedna Chinka spędziła ciężką godzinę? „Może, wskutek ciemnoty swojej, u jakichś obcych ludzi, którzy nie dali jej nawet wyzionąć ducha w spokoju, którzy przepędzali ją, męczyli i wyrzucili w końcu na śmietnik. Doprawdy, wolałbym był słyszeć, że zakończyła życie u nas; serce moje ściskało się trochę na wspomnienie dziwnego jej, ludzkiego spoj-

Serbia przechodzi nowe zmiany, z któremi, pomimo wstrząsającego działania, już się oswoiła, gdyż zbyt często im podlega. Przypomnijmy sobie, ile w krótkim czasie gabinetów pogrzebano: Simicz, Nikolajewicz, Christicz, to są sternicy u boku królewskiego, szybko po sobie następujący. Uwaga powszechna zwrócona jest na ostatniego, jako bohatera chwili, z którego ruchów, zamiarów i usposobienia wróżą większy, niż kiedykolwiek przewrót. Podobno niepowodzenie Nikolajewicza wynikło z oporu urzędników. Dziś nowy prezes będzie się starał ten opór przełamać, czyli powoła innych ludzi, którym więcej ufa.

Po Niemczech i Serbii przyszła kolej na Hiszpanię, która u swego steru, również doznała przesilenia. Pomiędzy członkami gabinetu wynikła silna niezgoda, skutkiem ostrej różnicy zdań aż w dziewięciu sprawach polityki bieżącej. Wobec tego Sagasta wraz ze swymi towarzyszami poprosił królowę o uwolnienie. W rezultacie poruczono mu utworzenie nowego gabinetu, który również będzie oparty na zasadzie ześrodkowania republikańskiego. Tym sposobem burza za Pirenejami nie wywoła zmian zasadniczych.

Po za sprawami powyższemi tudzież po za przepowiednią upadku gabinetu Dupuy'a, punkt ciężkości polityki europejskiej przenosi się do innych części świata. Kwestya madagaskarska zaogniła się bardziej, niż przypuszczano. Le Myre de Vilers, wysłany do przeprowadzenia układów, a raczej wdrożenia na wyspie władzy francuskiej, nie wywołał postrachu i uległości śród tubylców. Przeciwnie — howańczycy przybrali postawę energiczną i „zuchwałą“ tak dalece, że francuzi zaczynają opuszczać wyspę, a w Paryżu układają już budżet wyprawy wojennej i podają wniosek pożyczki na ten cel w sumie 78 milionów franków. Tak więc Francya ma nowy kłopot, który nie skończy się na trudach bojowych i ich rezultatach, może niezupełnie pomyślnych; jest jeszcze bowiem do rozmotania kłębek dyplomatyczny, po który trzeba sięgnąć aż do Londynu.

Anglia i Włochy mają także swój kłopot kolonialny. Oba te państwa, połączone wspólnym interesem, podobno przysposabiają się już do wyprawy przeciw kalifowi sudańskiemu. Ale zapewne nie będą na to patrzeć obojętnie: Turcya, Austrya, Niemcy, a co najważniejsza—Francya. Zdaje się jednak, że względem tej ostatniej łatwo przyjść może do porozumienia drogą ustępstw w sprawie madagaskarskiej.

Japończycy zdobywają coraz nowe wawrzyny; wojsko państwa niebieskiego kruszy się, rozpada i cofa; Chiny, wycieńczone stratami i niepowodzeniem, postanowiły formalnie zawezwać mocarstwa europejskie do pośrednictwa pokojowego.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA NIEMIECKA.

Herman Bahr: *Der Antisemitismus* (Antysemityzm) Berlin, 1894.

Wyjeżdżam znowu w świat, posłuchać, co ludzie myślą i mówią. Tym razem o antysemityzmie. Nie zależy mi na twierdzeniach za i przeciw (o jedne i drugie łatwo), chciałbym tylko zebrać za dni naszych kilka wiarogodnych dokumentów, jak o danem pytaniu myślą wykształcone jednostki różnych ludów i państw.“

„Co do mnie, mam na kwestyę żydowską własny pogląd, którego nikomu nie narzucam. Sądzę, że antysemityzm istnieje dla antysemityzmu. Wywołały go bez wątpienia przyczyny społeczne, ale utrzymuje się on i rozwija dzięki innym okolicznościom. Stało się ogólną, niestety, potrzebą naszych czasów pobudzać zwiędłe, bezsilne nerwy, chociażby za pomocą sztucznych podniet. Oszołomienie, które tłumy piły z wypróżnionego dziś kielicha wiary, pierzchło; należy je koniecznie przywrócić. Więc ucieczka do antysemityzmu. Bogaci mają morfinę i haszysz; kogo na to nie stać, chwyta się antysemityzmu. Jest to morfinizm maluczkich.“

Pogląd ten daje nam rękojmię bezstronności pisarza, objeżdżającego Prusy, Francyę i Anglię dla czerpania wiadomości o danym przedmiocie. Można jego poszukiwaniu zarzucić niezupełność—Ameryka, Rosya, Grecya, Romunia, ziemie w których kwestya żydowska istnieje, zostały pominięte. W ogóle jednak bardzo wierne odtworzenie postaci nadaje książce wartość literacką i składa dowód zdolności pisarza. Uczony i dziennikarz, ludowiec i antysemita wypowiadają tu swoje zdania jasno i dokładnie; poglądy są streszczone bez sympatyi i uprzedzeń, a odcienie psychologiczne, cechy temperamentu, sposób mówienia i argumentowania zachowane ze skrupulatną dokładnością. Na trzydzieści osiem osób „interesowanych“ Bahr dał co najmniej dwadzieścia pysznych sylwetek. Inaczej wygląda wśród nich hiszpański cygan literacki Alejandro Sawa, inaczej ciężki symbolista francuski, Karol Maurice, albo: August Bebel, Ernest Haeckel, Juliusz Simon. Rozmowa z panią Séverine charakteryzuje wszystkie cechy duszy miękkiej, entuzyastycznej. Trzy stronice monologu Gustawa Schmollera są niemniej wierne, bardzo trafnie rysują mózgownicę filisterską. Słowem twierdzenia, zdania i poglądy powtarzają się, osoby nie.

Materyały zebrane zawierają głównie opinie Niemiec i Francyi. Wiadomości zasięgnięte między anglikami wykazują, iż nawet mimo oburzeń na żydów ruskich w Whitechapel i Eastend, jako współzawodników pracy, antysemityzm nie zagnieździł się w umysłach Albionu. Sir Charles Wentworth Dilke, James Arthur Balfour, Henryk Labouchère, Anna Besant, Sidney Whitman, jednogłośnie to stwierdzają. Tylko w Irlandyi, gdzie żydzi pożyczają pieniędzy na procent i zajmują się handlem „domokrążnym“, było w ostatnich czasach kilka procesów sądowych. Belgia posiada jedynego antysemitę, bez stronników i bez pisma, wierzącego jednak w swą sprawę: Edmunda Picarda. Stanowisko Hiszpanii wobec kwestyi antysemickiej określają najlepiej słowa byłego prezydenta ministrów rzeczpospolitej hiszpańskiej, Manuela Ruyz Zorilli: „Mieliśmy antysemityzm w wieku szesnastym, ale skutki jego dziś jeszcze trwają. Wypędzenie żydów z Hiszpanii było największą zbrodnią wobec kraju naszego. Temu właśnie należy przypisać upadek handlu, zubożenie narodu.“ Poglądy Skandynawii streszcza lakoniczny bilet Henryka Ibsena: „O antysemityzmie nic nie mogę powiedzieć; cały ten ruch jest dla mnie najzupełniej niezrozumiały.“

To, iż Austrya nie została dotkniętą, wyjaśnia geneza książki Bahra. Drukowana pierwotnie w dzienniku wiedeńskim, *Deutsche Zeitung*, nie potrzebowała zajmować

---

rzenia, w którem było tyle prośby, tyle zawsze pragnienia miłości... Wypowiedzieć go nie umiała — lecz oczy jej utkwione we mnie wyrażały wciąż to samo lękliwe pytanie... Kto wie, jaka tajemnicza trwoga wstrząsa biedną ciemną duszyczką zwierząt, w godzinie konania?...

. . . . . . . . . . . . .

Rzekłbyś, że jakiś urok padł na nasze kotki. I Biała Moumoutte zanikła.

Na ostatnie mieszkanie wybrała sobie moją gotowalnię a w niej kanapkę, której różowe pokrycie podobać jej się zapewne musiało. Zanoszono jej tam trochę żywności, mleka, chociaż prawie już go nie tykała; na tych, którzy wchodzili, spoglądała tylko wzrokiem dobrym, zadowolonym z odwiedzin, a kiedy gładzono ją delikatnie, na znak pieszczoty wydawała jeszcze cieby, słabiuchny okrzyk zadowolenia.

Pewnego pięknego poranku znikła i ona, pokryjomu, tak jak Chinka, my zaś myśleliśmy, że już nie wróci.

. . . . . . . . . . . . .

Jednakże wróciła i nie przypominam sobie równie smutnej chwili, jak ten powrót.

Było to mniej więcej w trzy dni później, w początkach czerwca, kiedy wszystko promienieje, błyszczy, a w powietrzu panuje cisza zupełna. Czas to, łudzący pozorami wiecznego trwania, smutny — dla istot na śmierć przeznaczonych. Dziedziniec nasz rozpostarł wszystkie swoje liście, wszystkie swoje kwiaty, róże na murach, jak w latach dawnych; jaskółki, pojone światłem i życiem, krążyły z radosnym świergotem po błękicie nieba; było to wielkie święto wszystkich rzeczy bez duszy i wszystkich płochych stworzeń, których śmierć nie zatrważa.

Ciotka Klara, która przechadzała się właśnie, badając świeże pączki kwiatów, woła mnie nagle, a po głosie jej poznałem, że zaszło coś nadzwyczajnego.

— Chodź-no tylko, chodź!.. patrzaj, biedna nasza Moumoutte wróciła!..

Wróciła istotnie — jak smutny, mały cień schudzona, o futerku zbrudzonem już o ziemię, napół nieżywa. Kto wie, jakie ją tu przywiodło uczucie: rozwaga, brak otuchy w ostatniej godzinie, potrzeba widzenia nas raz jeszcze przed śmiercią!

Z trudem przedostała się przez niski mur, tak dobrze jej znany, który przeskakiwała dawniej w dwóch susach, ilekrotnie wracała ze zwiadów po stolicy, z utarczki z jakimś sąsiadem lub sąsiadką... Wielkim wysiłkiem umęczona, stała a raczej leżała prawie na mchu i świeżej trawce, nad brzegiem jeziora, usiłując zaczerpnąć łyk świeżej wody. A w spojrzeniu jej było błaganie, wołanie o pomoc: „Czyż nie widzicie, że umieram? Więc, aby dni moje przedłużyć, nic zgoła uczynić nie możecie?“

Postanowiliśmy przenieść ją do mojej gotowalni, na tę samą różową kanapkę, którą obrała sobie była w zeszłym tygodniu, a która widocznie podobać jej się musiała. I dałem sobie słowo, że upilnuję, aby już nie uciekła; chciałem, aby jej przynajmniej kości pozostały w ziemi naszego dziedzińca, aby nie rzucano jej na jakiś tam śmietnik, jak moją biedną Chinkę, której strwożone spojrzenie prześladowało mnie ciągle. Wziąłem ją tedy na ręce — nadzwyczaj ostrożnie, i wbrew zwyczajowi, z główką spuszczoną, na ramieniu mojem oparta, z całą ufnością zanieść się pozwoliła.

Na różowej tej kanapce opierała się śmierci przez kilka dni jeszcze — tak twardem jest życie kotów. Ostatnie promienie czerwcowego słońca złociły dom nasz i ciągnące się wokoło ogrody.

Odwiedzaliśmy ją często, a zawsze na przyjęcie nasze powstać usiłowała, z miną wdzięczną, wzruszoną, z wyrazem oczu takim, że, jak ludzkie, świadczyły o istnieniu w niej tego, co zwą duszą i o duszy tej smutku!..

Pewnego rana zastałem ją sztywną, o źrenicach szklistych, zwierzę nieżywe, rzecz, którą się wyrzuca. Kazałem tedy Sylwestrowi wykopać dół, na dziedzińcu,

się tem, co w Austryi jest znane. Włochy wykluczone również z powodów miejscowych.

Postać i poglądy Fryderyka Spielhagena autor charakteryzuje w sposób następujący: „Wprowadzają mię na drugie piętro, do pokoju, przedstawiającego mieszaninę salonu i pracowni, gdzie mimo widocznej trzeźwości urządzenia, rozłożone są przy ścianach kozetki i szezlągi. Na ścianach obrazy, przeważnie włoskie.

I sam gospodarz podobny do swego mieszkania. Sztywny, wyprostowany, skąpy w słowa. Miękość i sentymentalizm jego utworów w niczem nie harmonizują z osobą. Nawet ugrzecznienie jego jakby wymierzone, surowe.

Twardy silny profil, niby szkic, szybko rzucony. Nie mogę odróżnić barwy jego włosów, ale rozważam różnicę między człowiekiem i dziełem. Tam styl szeroki, gadatliwy, tu zwięzłość i pośpiech, słowa wypadające nagle, urywanie, jakby dyktowane.

Przyczyny i argumenty—mówi—moralne oburzenie nic tu nie zdziałają. Ekonomiczne zagadnienie wymaga ekonomicznego rozwiązania. Dopóki w Turyngii, Badenie i Wirtembergii będzie istnieć straszna lichwa, antysemityzm nie przestanie się krzewić. Uważam objawy nienawiści religijnej, narodowej za wtórne; znikną one wraz z podkładem materyalnym.“

Teodor Barth, człowiek bardzo pracowity, radykalista, rozwodzi się w długiej mowie o Caprivim, Ahlwardcie. August Bebel trafnie wyjaśnia wpływ Ahlwardta tłómacząc, iż zawładnął masą, chociaż nie stoi od niej wyżej, dlatego że uosabia jej nienawiści.

Teodor Mommsen, przez wiek pochylony, z głową osrebrzoną, w długim czarnym surducie wygląda trochę niezaradnie.

„Myli się pan—odpowiada Bahrowi—sądząc, że w tem pytaniu można dopiąć czegoś zapomocą rozumu. Przeciw tłumowi nie ma hamulca, czy to na ulicy, czy w salonie. Antysemityzm to właśnie opinia. Oświadczenie Gustawa Schmollera to długi traktat, z którego dowiadujemy się, iż wszystko co może powiedzieć o antysemityzmie, powiedział w rozprawie o Laskerze, że o kwestyi żydowskiej mówi Hehn, że należałoby rozpatrzyć, czy zmięszanie się żydów z nieżydami wyda dobrą rasę. Argumenty sięgają jednem skrzydłem do chińczyków, drugiem do murzynów. Następuje rozbiór pytania, czy żydzi polscy i ruscy nie są tatarami. Wreszcie zakończenie: „Co się tyczy emancypacyi żydowskiej, twierdzę, że ludzie o moralności zbyt odległej od naszej (?) nigdy nie powinni być dopuszczeni do równouprawnienia państwowego“(!).

Ernest Haeckel, zapytany, odpowiedział: „Nigdy nie zajmowałem się tą kwestyą, a spostrzegając u najlepszych mych uczniow poglądy przeciwżydowskie, dziwię się nieco. Mam tylu serdecznych przyjaciół wśród żydów, znam wielu bardzo uczciwych. Ostatecznie może dążności niniejsze wywrą do pewnego stopnia pomyślny skutek przyśpieszając — chociaż drogą przymusu—zlanie się żydów z niemcami... Uważam więc sprawę za rasową...“

Książę Henryk Schöneich - Coralath, astronom Wilhelm Foerster bronią równouprawnienia. Pisarz niemiecki, John Henry Mackay, drwi z zacietrzowienia antyrasowców.

Stan kwestyi we Francyi określa bardzo dobrze Alfred Naquet, zasłużony około rozwodu, równouprawnienia dzieci nieślubnych. „Tu sprawa—wyjaśnia—nie ma tego znaczenia co w Niemczech. Liczyliśmy wszystkich żydów 70,000, emancypacya ich, ztąd asymilacya, dokonała się już dawno: portugalskich przed rewolucyą, niemieckich i alzackich podczas niej. We Francyi głównie jezuici podniecają przeciw żydom; stare hasła wytarły się, potrzeba nowych. Kto nie „catholique militant“—ten żyd. Na prowincyi tymczasem zna się żydów jako ludzi uczciwych, pracowitych. Tylko w Paryżu jest żydowskiego pochodzenia część bankierów. Nie trzeba wierzyć krzykom *Libre Parole*; pismo to nie przeprowadziło dotąd ani jednego ze swych kandydatów. Kilku znudzonych bawią hałasy antysemickie; poważnie jednak o partyi przeciwżydowskiej nie ma co mówić.

Nie wierzę w przyszłość antysemityzmu. Pamiętam, jacy byli żydzi przed równouprawnieniem, wierzę, że i w Rumunii i Rosyi mogą być tacy sami, lecz czy to nie jest najlepszym argumentem w obronie emancypacyi?“

Pani Séverine mówi z gorącym zapałem, ogniem miłości ku wszystkim ludziom. Według niej — antysemityzm wytryska z opoki niezadowolenia. Arystokracya nienawidzi żydów za to, że są bogatsi, że zajmują jej miejsca, ludowcy patrzą na antysemityzm przez palce, uważając go za drożdże do nowego pieczywa. Inni chcą tylko podrażnić rząd. A lud? Lud prawdziwy pracuje i cierpi. Mało ufa antysemitom, bo odgaduje ich podstęp i fałsz. Jeśli Drummont pozyskał część jego, to stosunkowo niewielką i tylko dzięki zaletom osobistym.

Dość blade są rozważania Juliusza Simona, Anatola Leroy-Beaulieu, E. Paillerona. W Londynie spowiada się ze swego przeciwżydowstwa Henryk Rochefort i, jak zawsze, drobną garstkę prawdy zalewa powodzią kłamstwa.

*W Bugiel.*

## NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, iż poemat Lipinera „Prometeusz rozpętany,“ przełożyła w całości autorka, pisząca pod pseudonimem El-ka.

— Rada miejska we Lwowie uchwaliła budowę nowego teatru na placu Gołuchowskiego kosztem gminy w wysokości 700,000 zlr. Zażądała ona od sejmu jednorazowej zapomogi 400,000 zlr. tudzież stałego wypłacania teatrowi dotychczasowej sumy rocznej 24,000 zlr. Sprawa ta wejdzie do sejmu w styczniu.

— O odsłonięciu pomnika Chopina niektóre pisma włoskie zamieściły depesze i sprawozdania.

— Według nowej ustawy akademii sztuk pięknych w Petersburgu, jednem z jej zadań ma być przychodzenie z pomocą istniejącym szkołom sztuk pięknych i zakładanie nowych. W tym celu do rozporządzenia akademii oddano pewną sumę, z której udzielane będą zapomogi szkołom specyalnym rysunku i malarstwa. Do bliższego zajęcia się tą sprawą utworzono przy akademii komisyę, złożoną z członków W. Beklemiszewa, M. Botkina, G. Kożowa, W. Makowskiego i przewodniczącego Siemionowa.

— Dn. 29 b. m. rozpocznie się w Warzzawie szereg odczytów na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Udział w nich wezmą pp.: J. I. Boguski, Ignacy Dąbrowski, Walery Gostomski, Józef Kenig, Władysław Natanson, Józef Siemiradzki i Ksawery Sporzyński.

— Dn. 14 b. m. otwarta będzie w Warszawie doroczna wystawa szkiców, ktora w r. b. rozpadnie się na kilka odrębnych działów: 1) obrazów wykończonych, 2) szkiców olejnych, 3) akwarel i rysunków, 4) rzeźby, 5) sztuki ozdobniczej oraz stosowanej do rzemiosł i przemysłu. Nadto osobny będzie dział malarstwa religijnego.

---

pod krzakiem... Gdzie podział się ten błysk, który widziałem w konających jej oczach, gdzież podział się ów mały, z wnętrza wychodzący płomyk?..

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Pogrzeb białej Moumoutte na spokojnym dziedzińcu, pod pięknem niebem czerwonem, w wielkim blasku południowego słońca.

W oznaczonym miejscu Sylwester kopie ziemię—i nagle, zajrzawszy w głąb, zatrzymuje się i wyciąga z otworu rzecz jakąś, która go zadziwia:

— A to co?—mówi, pokazując małe, białe kosteczki—czy zając?

Kości jakiegoś zwierzęcia, istotnie; kości kotki senegalskiej, towarzyszki mojej w Afryce... Niegdyś bardzo ją kochałem, pochowałem ją tu przed kilkunastu laty i ugrzęzła w morzu zapomnienia, gdzie rzuca się wszystkie rzeczy i stworzenia zanikłe.

Kilka kosteczek zagrzebanych pod drzewem—oto wszystko, co zostało po tej kotce; którą przypominam sobie tak żywo. A ciałko jej, cała istota, przywiązanie do mnie, wielki jej lęk wobec godziny śmierci, krzyk trwogi i wyrzutu—wszystko więc co było wokoło tych kości, stało się garstką prochu... Kiedy dół był już wykopany, poszedłem po kotkę zastygłą.

Schodząc z drobnym tym ciężarem, zastałem siedzące w cieniu, w dziedzińcu, na ławeczce mamę i ciotkę Klarę. Wyglądały tak, jak gdyby przyszły tu przypadkiem i udawały, że zajęte są zupełnie czem innem: śmieszyłoby nas może mimowoli, żeśmy się tu umyślnie na pogrzeb kotki zebrali... Nie pamiętam równie promiennego dnia czerwcowego, równie ciepłej ciszy, wesołego brzęku muszek; cały dziedziniec osypany był kwieciem, krzaki pokryte różami; w ogrodach okolicznych panował spokój wiejski; jaskółki spały; tylko Sulcima, odwieczna żółwica, ożywiająca się coraz bardziej w miarę wzrastającego ciepła, dreptała sobie wesoło, bez celu, po rozgrzanych kamieniach. Wszystko oddane było jakby na pastwę melancholii niebios zbyt spokojnych, pięknego czasu i przygniatającego południa. Na tle świeżej zieleni, uśmiechniętych, olśniewających świateł jednakie suknie mamy i ciotki Klary tworzyły dwie przedziwnie czarne plamy. Głowy ich, okolone białym gładkim włosem, chyliły się jakby zmęczone trochę widokiem tego zwodniczego zmartwychwstania, które rozgrywało się przed ich oczami tyle już razy, blizko ośmdziesiąt. Rośliny, przedmioty zdawały się śpiewać okrutną pieśń tryumfu o wiecznej ich, corocznie z prochów wskrzesanej, młodości... Śpiew to był bezlitośny dla kruchych istot, które jej słuchały, męczone już przeczuciem nieubłaganego końca...

Złożyłem kotkę w dołku i biało-czarne futerko jej zniknęło natychmiast pod usuwającą się ziemią. Zadowolony byłem, że udało mi się ją pochować, że zgasła nie u obcych—jak Chinka—zbutwieje przynajmniej tu, na tym dziedzińcu, gdzie przez tak długi czas rządziła kotami z sąsiedztwa, gdzie latem tak często krążyła po starych murach, spowitych w białe róże, gdzie wreszcie w noce zimowe imię jej, wołane osłabłym już głosem ciotki Klary, rozbrzmiewało tyle razy.

Zdawało mi się, jakoby śmierć jej była początkiem końca mieszkańców domu; w myśli mojej kotka ta złączona była z drogiemi kapłankami mego ogniska, którym towarzyszyła w czasie dalekich moich podróży. Mniej żal mi było jej samej, duszyczki biednej, nieczytelnej, niejasnej—niż *trwania* jej, które się skończyło. Wydało mi się, żeśmy złożyli tu, w ziemi, dziesięć lat własnego życia...

Przeł: *Malwina Posner-Garfein.*

KONIEC.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Listy z Anglii.

(Dokończenie).

Mówiliśmy już wyżej o szkołach *voluntary*, należących bądź do stowarzyszeń religijnych, bądź też, w niewielkiej ilości, do świeckich związków wychowawczych. Jasnem jest, że demokratyczne żywioły kraju, dążące do upaństwowienia oświaty, mają niewielką ilość szkół prywatnych; kościół zaś anglikański, ześrodkowujący w swych rękach filantropię prywatną, popierany nadto w ciągu wieków przez państwo, a dziś przez pobite u jego steru żywioły uważany za siłę, stojącą na uboczu, przy której pomocy można oddziaływać moralnie tam, gdzie „polityka“ wpadła w skrajne ręce—ten kościół miał i ma zawsze dostateczne środki materyalne, aby opierać się podstępnie najściu „nowych kierunków.“ Widzimy we Francyi olbrzymie nagromadzenie środków wychowania w rękach jezuitów; w Anglii—zawładnął nimi kościół państwowy. Ale podczas gdy we Francyi państwo świeckie walczy, w Anglii nadal oddaje ono kościołowi olbrzymie środki. Nowe prawo oświaty elementarnej udziela szkołom prywatnym, które stosują się do ogólnych przepisów, dziesięć szylingów od ucznia, z warunkiem, że rodzice zwolnieni są od opłaty, o ile ta nie przewyższa sumy 10 szylingów (bezpłatne nauczanie istnieje od r. 1892 r.). W ten sposób najnowsze prawodawstwo ułatwia stowarzyszeniom utrzymanie swych szkół, korzystających nadto z zapomóg składkowych wszystkich tych, którzy chcą mieć za obrębem państwa siłę moralną, przeciwdziałającą państwu zdemokratyzowanemu. Wiemy już z powyżej podanych liczb, że $^2/_5$ ludności Anglii i Walii nie ma nawet rad szkolnych a zatem i szkół państwowych. W okręgach, gdzie rady szkolne są już utworzone, nieraz $^1/_2$ lub $^2/_3$ dzieci uczęszcza do zakładów *voluntary*. W Londynie jest 498 szkół prywatnych, do których uczęszcza 222,000 dzieci. Seminarya zaś nauczycielskie są prawie wszystkie w rękach prywatnych. Szkoły te, które istnieją z zapomóg państwowych (składki i opłaty szkolne wynoszą zaledwie $^1/_5$—$^1/_8$ dochodów), są zarządzane przez obce a często nawet wrogie żywioły dla dzisiejszych interesów państwa. Dzięki wpływowi ministra Aclanda, zwanego „jakobinem“ w szkolnictwie angielskiem, kierunki i cele postępowców znalazły szerokie uwzględnienie, a „departament wychowawczy“ przeprowadził reformy z góry i korzystał z najdrobniejszego powodu, aby wkraczać nieraz samowolnie w zakres działania szkół prywatnych. Widzimy to zresztą w Londynie, gdzie przeszło $^2/_3$ dziatwy szkolnej stanowi już zastępy państwowe. Wobec tych faktów zwolennicy szkół *voluntary*, będący jednocześnie wrogami ogólnie dziś przejawiającej się demokratyzacyi państwa, uciekli się z jednej strony do polityki oszczędności, która oddziaływa na liczne rzesze płacących podatki, a z drugiej—do wywołania zatargu religijnego, z którego, w ich mniemaniu, tylko szkoły *voluntary* skorzystać mogą. Dysydenci bowiem, zdaniem twórców zatargu, widząc większość anglikańską w radzie, przejdą także do polityki szkół prywatnych, aby nie dać wszystkiej władzy państwowo zorganizowanych w ręce współzawodnika kościoła państwowego.

Jak dalece zatarg ten jest zasadniczo-politycznym a nie teologicznym lub religijno-dydaktycznym, dowodzi zachowanie się żydów i katolików. Pierwsi—z wyjątkiem nowego napływu z gubernij południowo- i północno-zachodnich Rosyi—stanowią tu żywioł wsteczny, popierający wszelki „szyk“ zachowawczy, a zatem i duchowieństwo anglikańskie. To też i dziś p. Diggle liczy na poparcie bogatej ludności żydowskiej. Niemniej i kardynał Vaughan, który w przeciwieństwie do swego poprzednika, kardynała Manninga, duszą i ciałem przeszedł do polityki wstecznej, wydał cyrkularz *w zasadzie* popierający politykę dzisiejszej większości rady szkolnej. Podkreśliliśmy słowo „w zasadzie“ dlatego, że tradycya Manninga a w części i dzisiejsza Irlandyi, wytworzyły zastęp demokratów-księży, którzy z całą siłą łączą się z postępowcami przeciw panu Diggle. Ci to kandydaci katoliccy do przyszłej rady szkolnej zmusili kardynała Vaughana do pewnej oględności, szczególnie w stosunku do „polityki pracy,“ jakiej się trzymała dotychczasowa rada szkolna.

Podczas bowiem gdy rząd centralny wprowadza do swych warsztatów bądź krótszy dzień roboczy, bądź wyższą płacę zarobkową, określaną przez związki zawodowe, gdzieniegdzie nawet usuwając przedsiębiorców, jako zbytecznych pośredników, londyńska rada szkolna, ostatecznie także organ państwowy, z pewnym naciskiem trzymała się dawnej zasady: byle mieć tańszą pracę. Przeciw tej polityce występują wraz z postępowcami i kandydaci katoliccy, pomni pięknych nauk, jakie na tem polu dawał im zmarły i popularny kardynał Manning.

Gdy ważne zasady życia społecznego ścierają się ze sobą, występują wtedy na jaw i dalej idące sformułowania, które nie zadowalając się sporem z doby dzisiejszej, kreślą idealne rysy przyszłości i nowych etapów rozwoju. Więc też i teraz w sprawie rady szkolnej wystąpili zwolennicy głębszych reform. Niektórzy z nich zostali przyjęci przez obóz postępowy (z pośród Fabianów), innym pozostawiono — że się tak wyrażę — miejsce, bez jawnej solidarności z nimi *). Wybory bowiem do rady szkolnej odbywają się z listy, przyczem wyborca ma prawo zbierania glosów na jednego kandydata. Okoliczność ta utrudnia przepowiednie. Zdaje się wszakże, że socyaliści przeprowadzą kilku swoich kandydatów, a postępowcy zdobędą większość, przyczem lewe ich skrzydło znacznie się wzmoże. Wybory te będą miały niezmiernie ważne znaczenie dla Anglii. Jakkolwiek Londyn w Królestwie Zjednoczonem nie gra tej roli, co Paryż dla Francyi, a Berlin dla Niemiec, jokkolwiek w Anglii, szczególnie północ, jako ściśle określony okrąg przemysłowy, zawsze miała swe samodzielne fazy rozwoju, niemniej starcia przekonań w stolicy, liczącej około pięciu milionów ludności, muszą mieć znaczenie ogólno-krajowe. Stronnictwo bowiem postępowe w Londynie, w razie zwycięztwa, nie może ani na chwilę odłożyć dalszej walki o seminarya nauczycielskie. Te ostatnie, t. zw. *training colleges*, w liczbie 3,609, są w rękach związków religinych; kościół anglikański rozporządza 2,284 seminaryami. Zwolennicy wolnej myśli zorganizowali wprawdzie swoje własne, t. zw. „dzienne szkoły przygotowawcze,“ w których jednak do dziś dnia niema nawet 800 uczniów. Tymczasem budżet seminaryów przewyższa sumę 180 tysięcy funtów sterlingów, z których państwo ponosi około 133 tysięcy, a składki prywatne nie dochodzą do 18 tysięcy; niemniej kierunek i zarząd szkół jest w rękach prywatnych, a zasada tolerancyi religijnej dotąd jest wykluczoną z seminaryów nauczycielskich. To też nie dziw, że Anglia wraz z Walią opanowane są prawie przez 15 tysięcy szkół *voluntary* w których około $2\frac{1}{2}$ miliona dziatwy pobiera wykształcenie sekciarskie. Londyńska rada szkolna musi zatem walczyć przedewszystkiem o zasadnicze prawodawstwo organiczne, jeżeli dbać będzie o stały i zabezpieczony postęp oświaty narodowej.

Natomiast wygrana dzisiejszej większości w londyńskiej radzie szkolnej sparaliżuje całą działalność ministra Aclanda, który, mając przeciw sobie sąd stolicy, nie będzie mógł grać roli „jakobina“ w szkolnictwie kraju, gdzie parlamentaryzm utrudnia robotę reformatorską, niepopartą przez uprzednie wypowiedzenie się opinii publicznej.

*W. Nadolski.*

*) Program tych kandydatów jest niejako kopią żądań lewicy paryskiej rady miejskiej (świeckość szkół, bezpłatne śniadania dla dziatwy itd.).

## DAMSCY KAZNODZIEJE.

(Dokończenie).

Ale tego wszystkiego jeszcze nie dosyć — tu dopiero przychodzi szczyt logiki autora. Posłuchajcie! Po tych wszystkich bolesnych wykrzyknikach o niebezpieczeństwie, jakie nam grozi od emancypacyi kobiet, po biadaniach, lamentach, groźbach, najczarniejszych przepowiedniach, dowiadujemy się o kilkanaście wierszy poniżej, że owa zmora, w którą szanowny szermierz celował wszystkie swoje pociski, nie istnieje już wcale, ani słychać o niej, upadła bezpowrotnie; konała już wówczas, kiedy Konopnicka *Świt* redagować zaczęła, który był właśnie próbą zmartwychzbudzenia jej, lecz naturalnie próbą daremną, „bo choć ludzie jeszcze przypisywali wagę do ruchu niewieściego, ale już mało. Kobiety przekonały się, iż nie warto mieć tyle zachodu (?) o rzecz (niby naukę) stosunkowo tak mało znaczącą, że kobiety lekarki niczyjej uwagi nie pochłaniają, że być doktorem nie jest już nic nadzwyczajnego, że oczekiwanych owacyj ze strony wielbicieli nie było, no, to i dały spokój — i gwiazda entuzyazmu dla nauki zgasła, jak świeca, prądem wiatru zdmuchnięta! Inni ludzie, inne czasy!“

A bodajże cię! tu już bzdurstw ponoć za wiele! Nie wiem prawdziwie, czy gdziekolwiek szanujące się pismo pomieściłoby ich tyle na swych szpaltach. Czy to nie przypomina tych amerykańskich ogłoszeń, co to: „Nieszczęśliwi, jednej chwili spokoju w życiu nie zaznacie, najstraszniejsze choroby was imać się będą, podagra, reumatyzm, cholera itd.—a w końcu: ale wszystko to ustąpi z chwilą, gdy kupicie pod tym a tym adresem wyborne moje szelki“? Gdyby p. D. miał przynajmniej tyle sumienności, ile chęci do kazań, to byłby przed napisaniem tego wspaniałego „requiem“ postępowi kobiecemu przeczytał choćby nie więcej, tylko krótkie notatki „ze świata kobiecego“ na ostatniej stronicy tegoż *Tyg. ilustr.*, który ową elukubracyę zamieścił, a byłby się dowiedział, że jeżeli emancypacya kobiet pogrzebana, to w każdym razie jej sobowtór czy upiór po świecie ciągle chodzi, a nawet mnoży się; byłby się też dowiedział, że to, co uważał za zmarłe pragnienia, stało się dziś żyjącą rzeczywistością, że już prawie na całym świecie kobiety zajmują niektóre bardzo poważne stanowiska, a jeśli nie zajmują ich tyle, ileby chciały i mogły, to tylko dlatego, że takich dobroczyńców ludzkości, jak pan D., jest jeszcze, niestety, zbyt wielu.

W drugiej połowie pracy pana D. mieści się dytyramb na cześć Prusa, jego „Emancypantki“ i damskich idei. Tu z zachwytem, godnym lepszej sprawy

i lepszych czynów Prusa, cytuje pan D. wszelakie słodycze, westchnienia, hymny o wdziękach od Prusa do pań. Nie brak naturalnie i nauk i rad—a są i takie wzruszające zdania: *„jako niewiasta w miłości i ukochaniu rozkoszy szukać winna“* (dopóki młode, zapomniał zapewne p. D. dodać, bo wątpię, żeby się tam Prus o ukochanie podstarzałych dopominał), *„jako powinna myśleć sercem a nie głową“* (dlaczego nie żołądkiem?) i różne tym podobne koszałki opałki. A na uwieńczenie zachwytu dla mistrza i dowód ścisłej solidarności w przekonaniach tych dwóch mężów służy następująca cytata, już wprost z mózgu Prusa wyjęta: „Ponieważ kobieta musi lub powinna być matką, na nic się nie przydadzą hałaśliwie brzmiące nawoływania, utopijne mrzonki o samodzielności niewieściej; prawa natury nikt nie zmieni (ani Prus, ani p. Dobrowolski nawet), ani fizyologicznych funkcyj nie cofnie! Pogoń za wiedzą, niepodległością czynów, za zdobyciem miana „prawdziwego człowieka,“ wszystkie te wykrzykniki z kodeksu emancypacyjnego są marnym dźwiękiem tylko!“ Ależ zacni panowie i władcy nasi, czy nie uważacie, że wasze głębokie aksyomaty możnaby z równie dobrym skutkiem i nic im nie szkodząc, tak podać: Ponieważ pan stworzenia, mężczyzna, musi lub powinien być ojcem, na nic utopijne mrzonki o samodzielności męzkiej itd. Zdaje mi się, że logiczny związek zastosowany tu nieźle ten sam. Albo dalej: Ponieważ z funkcyj fizyologicznych, którym ulega mężczyzna, wynika, że może i musi pójść do wojska na rok, dwa lub trzy; dalej, jeżeli wypadnie wojna, iść na nią i tam może być ranionym, kaleką, więc potem niezdolnym do pracy, może nawet zginąć — zatem niechże mu raz z głowy wywietrzeją te wszystkie utopijne mrzonki o samodzielności.“ Czyż nie tak? Czyż nie jest to bezpośredni wynik i ciąg dalszy rozumowania tych panów?

„Fizyologiczne funkcye!“ Tak, to ulubiony i wygodny konik.

Zobaczmyż nareszcie, czy rzeczywiście te „czynności fizyologiczne“ tak kobiecie do samodzielności na przeszkodzie stają i w jakiej mierze? Przeszkadzać mogą dwojako: z jednej strony odbierając jej siły potrzebne do pracy samodzielnej, z drugiej — niezbędny czas do tejże pracy. Otóż co do pierwszego, jest rzeczą dosyć ogólnie przez lekarzy i specyalistów stwierdzoną, iż funkcye macierzyńskie, jako należące do ogólnego rozwoju organizmu kobiecego, nie mogą mu szkodzić (naturalnie mówimy tu tylko o jednostkach zdrowych, normalnych), ale przeciwnie, utrzymują go w tymże normalnym rozwoju, z wyjątkiem pewnego okresu osłabiającego. Zatem, pierwsza przeszkoda pozostaje w ten sposób sprowadzona do drugiej, do kwestyi czasu, potrzebnego na spełnienie funkcyj macierzyństwa. Obliczmyż ten czas w przybliżeniu. Przeciętnie można liczyć na kobietę zamężną 4 dzieci. Przy wydaniu na świat każdego, biorąc czas, w którym kobieta nie powinna oddawać się pracy natężonej, przed urodzeniem 3 miesiące, po urodzeniu miesiąc, razem 4; czyli przy czworgu dzieciach 16 miesięcy. Nie wspominam tu o tem, że mnóstwo kobiet już w 10 dni po urodzeniu zabiera się do pracy, a pracuje czasem niemal do ostatnich chwil rozwiązania; nie wspominam zaś dlatego, że tak być nie powinno. Natomiast możnaby zwrócić uwagę na liczbę kobiet tak zamężnych, jak i wolnych, które wcale macierzyństwa nie znają, a więc i o tej przeszkodzie mowy być nie może.

„A wychowanie dzieci?“ — słyszę już z daleka. Dzieci biednych wychowują się zazwyczaj same, a bogatych uczą bony i guwernantki, więc też jednostki już o samodzielnych stanowiskach. Zresztą czy to na porządne wychowanie dzieci tak wiele czasu potrzeba? Tylko trochę więcej oleju w głowach wychowawczyń! Najwięcej czasu pochłaniają kobiecie nie funkcye fizyologiczne, nie wychowanie dzieci, ale wizyty, stroje, flirt, swary domowe. To zmory, na któreby należało panom więcej napadać, ale na to się nie powstaje we własnym interesie, bo ci panowie przedewszystkiem chcą mieć z kobiet lalki i jeżeli przeciwko wyższej ich nauce taki alarm robią, to tylko z obawy, że nauka gotowa im z lalek zrobić ludzi, owych „prawdziwych ludzi,“ przeciwko którym z taką bezczelnością i bezwstydem się zastrzegają.

Nakoniec jeszcze parę słów o „Emancypantce“ Prusa, na której to p. D. tak niefortunnie sprawę kobiecą wystudyował. Nie myślę krytykować tego utworu, uważając go pod każdym względem za nader ułomny i chybiony; o tyle tylko go dotknę, o ile dotyczy, artykułu pana D. Otóż emancypantki z „Emancypantki“ Prusa— to szereg karykatur kobiecych, mniej lub więcej udatnych. Wprawdzie i w życiu zdarzają się one, ale nie stanowią reguły. Tu wyjątek mogłyby zaledwie tworzyć dwie postacie: pani Latter i Madzia, jakkolwiek ani jedna, ani druga nie są to kobiety wyemancypowane w tem znaczeniu, jak to chce mieć pan D.; przeciwnie, pani Latter, gdyby była kobietą gruntowniej urobioną i wyżej wykształconą, toby sobie może z własnymi potomkami lepiej radzić i nimi pokierować umiała. Wiedziałaby też, że modlitwy i wiary można uczyć dzieci; osobniki dojrzałe, skończone, bez względu na tę naukę, modlą się i wierzą, albo nie— według przekonań, drogą samodzielnego myślenia zdobytych. Więc zamiast się trapić i troszczyć, że nie nauczyła ich modlić się, p. Latter powinnaby zadać sobie pytanie, czy nauczyła je samodzielnie myśleć, a że tak nie było, to chyba nie stało się z powodu zbytecznej emancypacyi p. Latter, ale przeciwnie. Co do Madzi — przedewszystkiem to nie kobieta, lecz naiwna dziewczka; na skończoną kobietę jest zbyt głupia i naiwna. Pan D. np. rozpływa się nad jej nieporównaną szczerością, gdy przypuszcza, iż ucałowanie dziecka, zaraźliwą chorobą złożonego, nie może szkodzić, jeżeli to dziecko takie kochane i dobre. Czyż to szczerość? — to ta sama naiwność, bardzo zabawna u dziewczynki, ale wcale nie zabawna u kobiety dojrzałej. Pp. Prus i Dobrowolski, jak widzę, przepadają za naiwnemi i chcą nam je dać jako ideał dla świata kobiecego, ale w swoich zachwytach zapominają zupełnie, iż oprócz naiwnych 16-letnich podlotków są jeszcze kobiety dojrzałe, stare, są panny brzydkie, niemłode. Jakżeby to panom P. i D. z naiwnością Madzi smakowały? Katechizm tych panów pisany tylko dla „naiwnych“ — nic dziwnego, że taki zabawny.

*M. Dulębianka.*

## ZE ŚWIATA RZEMIEŚLNICZEGO.

Losy przytułku rzemieślniczego. — Skąd płyną ofiary? — Emerytura i przeszkody na jej drodze. — Gotowe wzory i ich praktyczność. — Co się stało z kasami pod opieką Towarzystwa dobroczynności?

Po sławnych rozterkach wewnętrznych, sekcya rzemieślnicza, sklecona z takim trudem powtórnie, daje słabe znaki życia. Na ostatniem posiedzeniu widzieliśmy szeregi pustych krzeseł, a przed niemi — prezydyum smutne i zgorzkniałe. Wobec szczupłej gromadki członków rozprawiano o tem, co powinno najbardziej obchodzić rzemieślnika— o jego doli i sposobach zapewnienia bytu na starość lub w razie niedołęztwa i kalectwa. Czy obchodzi ich ta sprawa? Fakty co innego mówią. Już od lat paru toczy się leniwie i utyka szkielet przytułku rzemieślniczego. Był czas, gdy o nim rozprawiano bardzo gorąco na posiedzeniach tej samej sekcyi, potem zapadła cisza, którą obecnie przerwano przy sposobności innych projektów. Jakże ta sprawa stoi? Zebrano dotąd w gotówce przeszło 29,000 rs., ale budowę gmachu „odłożono,“ gdyż delegacya nie przyjęła ofiarowanego przez magistrat placu na Pradze, a więc ofiarę cofnięto i nowych żądań, udzielenia gruntu przy ogrodzie Pomologicznym — nie uwzględniono. Jeżeli przytem zważymy, że owe 29 tysięcy zebrano z wielkim trudem, że z 53 cechów warszawskich tylko siedem złożyło ofiary (piwowarzy, felczerzy, zegarmistrze, rękawicznicy, krawcy, szewcy i szklarze), inne zaś na odezwę delegacyi nawet nie raczyły odpowiedzieć; że na 350 odezw, rozesłanych rzemieślnikom *zamożnym* z prośbą o składki, otrzymano tylko *trzy* odpowiedzi; że wreszcie suma dotąd zebrana nawet w połowie nie pochodzi od rzemieślników — łatwo przyjdziemy do wniosku, że przytułek nie prędko powstanie i że w naszem społeczeństwie najmniej tą sprawą interesują się ci, dla których on ma służyć.

Zatem licząc na ofiary publiczne w świecie rzemieślniczym, trzeba albo czekać lat dziesiątki, albo przystąpić do dzieła z tem, co jest. Cóż jednak można zbudować za 29 tysięcy, nie mając nawet placu? — Jakąś szopę na kilkanaście osób. Przypuśćmy, że, jak pierwotnie proponowano, rzemieślnicy obok środków istniejących ofiarowaliby swą pracę bezpłatnie. Ale od właścicieli materyału budowlanego i gruntów trudno oczekiwać ofiar; zresztą gdy stanie zakład, potrzebne będą środki na utrzymanie jego pensyonarzy. Przy najpomyślniejszym przebiegu sprawy należy zawsze rządzić się możliwie największą oszczędnością i względami praktycznymi. Dlaczego jednak inicyatorowie projektu chcą wznieść przytułek koniecznie w Warszawie i to tak dalece, że nawet placem na Pradze pogardzili? Naszem zdaniem, najwłaściwiej byłoby wznieść zakład na prowincyi, gdzie grunt i utrzymanie byłyby tańsze, a zniedołężniali pracownicy mieliby ciszę i powietrze zdrowe. Przecież instytucya tak zasobna, jak dom dla obłąkanych, również zogniskowała się po za obrębem Warszawy.

Oto stan dotychczasowy sprawy założenia przytułku dla zniedołężniałych. Chodzi o niewielką drobinę zabezpieczenia bytu, bo przecież na liczne tysiące pracowników z tej dziedziny w najlepszym razie kilkudziesięciu, najwyżej stu kilkudziesięciu starców znalazłoby spokojne schronienie, a jednak i tak małej cząstki nasz świat rzemieślniczy nie może podźwignąć i w czyn wcielić. A przecież obok starców i ludzi przedwcześnie pozbawionych zdolności do pracy przez nadmierne natężenie sił lub wypadki, są tysiące innych, których pierwej czy później taki sam los spotka. To też dzięki temu, że nasi rzemieślnicy mają śród siebie jednostki o sercach, pełnych dobrych chęci i... pustych kaletach, mnożą się nowe projekty, bez względu na to, że dawne są jeszcze na początku drogi do czynu. Zanim więc powstanie przytułek, mamy już na dobie dość gorąco traktowaną sprawę emerytury. Poruszył ją p. Kurczyński, który opracował wniosek w tej mierze. W zgromadzeniach rzemieślniczych, jak wiadomo, istnieją kasy, których zadaniem jest opłacać koszt leczenia członków. Na ten cel wnoszą oni roczną składkę do określonej liczby lat. „Wskutek rozporządzenia władzy, mocą którego — powiada p. K. — każdy mieszkaniec miasta od 17 roku życia zobowiązany jest płacić rubla rocznie na rzecz szpitali miejskich, za co na wypadek choroby leczenie ma zapewnione,—składki cechu na powyższy cel nie będą miały racyi bytu.“ Pro-

jektodawca więc radzi, aby je nadal pobierać i obracać na rzecz kasy emerytalnej, którą mają nadto wzmacniać wpływy z drobnych ofiar od rzemieślników bogatszych. Wnioskodawca twierdzi, że gdyby cechy chciały przelać do ogólnej kasy swoje pojedyncze sumy, wytworzyłyby one fundusz, który mógłby już być podstawą kasy emerytalnej. Projekt ten, przeszedłszy przez obrady sekcyi, otrzymał oświetlenie wysoce pesymistyczne, do którego i *Gazeta rzemieślnicza* coś dorzuciła: „Czy nie przedstawiając odpowiedniego kapitału zakładowego, można marzyć o staraniach u rządu w celu uzyskania zatwierdzenia kasy emerytalnej, bez czego ona istnieć nie może? Czy jest prawdopodobieństwo zgromadzenia tak wielkiego kapitału, któryby mógł być fundamentem emerytur dla dziesiątków tysięcy rzemieślników? Ponieważ wogóle rękodzielnictwo u nas wzrasta, i bieda także, to nawet wobec posiadania pewnego w danej chwili kapitału emerytalnego, ktoby mógł przyjąć na siebie odpowiedzialność majątkową za wypłacanie emerytur stowarzyszonym w przyszłości?.. Stowarzyszenie takiej wzajemnej pomocy ubogich, nie poparte przez rząd, ani przez poważne grupy finansowe, zawsze tylko ubogiem być musi; fundusze zaś jego, zasilane zmiennymi wpływami stowarzyszonych, chętniejszych do brania, niż wkładania, żadnej rękojmi przedstawiać nie mogą.“

Co do wpływów dobrowolnych, trudno na nie rachować, skoro mieliśmy świeżo tak wymowny przykład w zbieraniu środków na przytułek. Jeszcze gorzej, bo tutaj ofiary pochodziły i od fabrykantów, gdy tymczasem w tworzeniu kasy nie będą się oni poczuwali do żadnych obowiązków moralnych, gdyż ubezpieczają swoich pracowników od wypadków i opłacają za nich szpital. Pozostaje jeszcze t. zw. „ofiarność publiczna,“ tj. kołatanie do wszystkich stanów, czyli uciekanie się do żebraniny dla stworzenia tak wielkiego dzieła, jak zabezpieczenie bytu wielu tysięcy ludzi. Jedyne więc i najpewniejsze źródło, to oprócz przelania do jednej kasy istniejących funduszów cechowych — składki od uczestników. Ale i tutaj znowu rozpraszają wszelkie złudzenie te nieszczęsne fakty. Np. do kasy cechu szewckiego każdy czeladnik obowiązany jest wnosić po 15 kop. miesięcznie, za co otrzymuje pomoc szpitalną tudzież rodzaj emerytury w razie niezdolności do pracy. W takiej postaci zapomogę pobiera 30 czeladników. I oto pomimo tak lekkich warunków (*pół kopiejki* dziennie) tudzież stosunkowo znacznych przywilejów, zaledwie dziesiąta część pracowników wnosi składki.

Takie smutne i, niestety, prawdziwe oświetlenie sprawy, każe przypuszczać, że pomimo oddania jej w opiekę delegowanych, nie wejdzie ona w czyn i nie uszczęśliwi licznych rzesz pracowników. Wywleczenie jej wszakże na porządek dzienny jedno tylko może sprawić: pobudzić do stworzenia innych środków, doryweczych i tymczasowych, ale bądź co bądź — pożytecznych. Ponieważ zwykle śmielej stąpamy po drogach już utorowanych, więc prawdopodobnie posłuch znajdzie wniosek hr. Ludwika Krasińskiego, doradzający użycie systemu, przyjętego przez sekcyę rolną. Zajmowała się ona szczerze sprawą wzmocnienia podstaw bytu pracowników swojej dziedziny i przyszła do przekonania, że Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń obecnie stworzyć nie można; wobec tego zawarła korzystny układ z Towarzystwem „Przezorność“ w Warszawie. Dotychczas wszakże bardzo mało ubezpieczeń doszło do skutku; ale tutaj przyczyna tkwi w wyjątkowych warunkach: do większej liczby rolników rzadko dochodzą wiadomości ze świata, tem mniej do ich pracowników nieukształconych. Zresztą ziemianin nieraz myśląc o własnym ratunku, nie może troszczyć się o swych pracowników, posiadających najniepewniejsze jutro w stosunku do innych dziedzin pracy. Inaczej byłoby z rzemieślnikami, skupionymi około warsztatów miejskich. Tu łatwiej przeprowadzić powyższy system ubezpieczenia. Może tę właśnie stronę kwestyi uwzględni delegacya, powołana do jej wszechstronnego zbadania.

Rzemieślnicy nasi, jak wiadomo, mają kasy o charakterze dobroczynnym, których celem jest zabezpieczenie ubogich pracowników od lichwy. Ponieważ korzystali z nich przeważnie ci, którzy muszą pożyczać dlatego, że dochód nie może im w żaden sposób wystarczyć, więc oczywiście powstała znaczna liczba dłużników zalegających, a zarządy kas, z początku hojne i uczynne, spostrzegły z przerażeniem znaczne osłabienie swych sił. Towarzystwo dobroczynności, które z protekcyjną powagą rozciągnęło swe skrzydła nad kasami, nie wglądało wcale w stan ich interesów, które jednak z czasem poprawiły się pod działaniem doświadczenia i większej energii, a podwojony obrót doszedł do poziomu normalnego. Dopiero w tym okresie pomyślniejszym zarząd Towarzystwa przypomniał sobie o ich istnieniu, ale w jaki sposób — opowiedzmy słowami kronikarza *Gazety rzemieślniczej*: „Ze sprawozdań łatwo można było się przekonać, że interesy kas bezustannie się poprawiają. Jednak zarząd zwrócił się do nich i zawiadomił, iż zamierza przeprowadzić kontrolę i w tym celu deleguje dwóch członków. Oczywista rzecz, że kasy z ochotą zgodziły się na kontrolę szczegółową, która dużo potrzebuje czasu i będzie miała ten dobry skutek, że sporządzony zostanie dokładny inwentarz, tak potrzebny.“ Oczekiwania zawiodły, gdyż „delegaci zaledwie powierzchowną kontrolę przeprowadzili.“ „Nie bacząc na to, bez porozumienia się z wydziałem kas, który jedynie zna ich dobre sprawy, podali pewne wnioski, i na tej podstawie, również bez porozumienia się z wydziałem, prezes Towarzystwa zażądał zamknięcia dwóch kas w Warszawie i przeniesienia pozostałej do gmachu dobroczynności.“ Dla wyjaśnienia dodajemy, że pierwotnie założono kasy w każdym cyrkule po jednej, ale gdy się okazało, że zbyt wielka ich liczba pociąga znaczne wydatki, które nawet mogły narazić na upadek instytucyi, zostawiono w Warszawie tylko dwie kasy i jedną na Pradze; resztę zamknięto. Jeżeliby zatem powyższa uchwała nie uległa żadnej zmianie, pozostałaby na całą Warszawę z przedmieściami jedyna kasa, do której ludzie zajęci ciężką pracą i zamieszkali na krańcach miasta, musieliby co tydzień chodzić w dnie powszednie. Będzie to więc z wielu ważna przyczyna zalegania, niezbyt korzystnego dla interesów kasy. Wydział, chcąc zaprotestować przeciwko takiemu orzeczeniu, opracował przed kilku tygodniami obszerny memoryał w tej sprawie, który jednak pozostawiono podobno bez skutku. Czy znalazły się jakie inne środki przemówienia do przekonania zarządu Towarzystwa, dotąd nie wiemy. Jeżeli więc postanowienie powyższe wejdzie w życie bez żadnej zmiany — prędko można będzie kasy rzemieślnicze zaliczyć do dziejów przeszłości...

*Drogomir.*

## „ZARAZKI.“

Ktoś, przesiąknięty *zarazkami* żółci, obdarzył tą nazwą oficyalistów wiejskich. To jest miano ogólne i, zdaje się, nie powtarzane pospolicie; natomiast rozpowszechniły się inne, stosownie do różnych kategoryi pracowników rolnych: *zepsuci, znieczuleni moralnie, bezczelni, leniwi, oszuści, złodzieje*—to imiona, bardzo często wybiegające z ust ziemian. Jeden winny stwarza opinię dla dziesięciu niewinnych, tak daleco, że dziś najpobłażliwszy właściciel ziemski jeżeli nie głośno, to w duszy wymienia powyższe nazwy, gdy wspomni o którymkolwiek ze swych oficyalistów. Nie powiemy tego o urzędniku bankowym, kolejowym, o subjekcie w handlu, rachmistrzu instytucyj miejskich, farmaceucie, agencie ubezpieczeń itd. Jeden tylko oficyalista rolny w każdej chwili może być przygotowany na miano złodzieja, łotra lub kanalię i nie potrafi znaleźć dość silnych dowodów na swoje uniewinnienie. Nie dość tego; obrzucany błotem, choćby dusze i ręce miał najczystsze, na każdym kroku jest narażony na sponiewieranie, niema najmniejszej chwili, którą mógłby przeznaczyć dla siebie, nawet w święto a nieraz i w nocy. Wchodząc w umowę z właścicielem, nigdy nie jest pewny, czy będzie spełniał te zadania, do których go powołano. Leśnik może się stać dozorcą buraków, buchhalter ekonomem, ekonom... lokajem. Słowem—każdy oficyalista, wyższy i niższy, bardzo często bywa popychadłem do wszystkiego. Latem czytałem w *Kuryerze warsz.* następujące ogłoszenie: „Potrzebny jest leśnik, który potrafiłby także podawać do stołu.“ Jest to jeden z dowodów, świadczących o tem, com powiedział. Jeżeli oficyalista posiadł wykształcenie specyalne, może je sobie schować wraz z patentem do kieszeni, bo w większości wypadków musi być ślepym wykonawcą woli pracobiercy, chociażby to było wbrew najelementarniejszym zasadom nauki. „U mnie, panie dobrodzieju, oficyalista nie powinien mieć swego zdania! Ja tu pan, moja wola tak!“—woła zirytowany władca na roli i tę swoją wolę posuwa tak daleco, że zagląda we wszystkie kąty mieszkania swego pracownika, nie pozwala mu spokojnie ani zjeść, ani się zdrzemnąć i w końcu całem swojem zachowywaniem się doprowadza go do tego, że nieborak drży, gdy żona włoży nową suknię: „Bój się Boga!—woła do niej przerażony—toż dziedzic jak zobaczy, pomyśli, żem ci ubranie sprawił z tajemnych dochodów.“ Gdy idzie na herbatę i pogawędkę do sąsiada-kolegi, to chyłkiem, żeby pryncypał nie widział, bo pomyśli, że to jest zastosowanie w czynie przysłowia: „ręka rękę myje, noga nogę wspiera.“ Jeżeli w święto ma obiad nieco lepszy—drży i z trudnością przełyka każdy kawałek w obawie, ażeby dziedzic niespodzianie nie wpadł, bo dopatrzyłby w tem zbytek, pochodzący z nieczystego źródła. Jeżeli w chwilach wolnych od pracy czyta książkę lub gazetę, to idzie w kąt najgłębszy i patrzy, czy ma coś pod ręką, czem mógłby zasłonić *corpus delicti*, bo w razie wykrycia zasłużyłby na złą markę, a może nawet i wydalenie za to, że ma skłonność do czytania, które „odciąga od obowiązków i rozprasza uwagę przy ich spełnianiu.“ I oto wytwarza się znamienny stan psychologiczny w duszy oficyalisty, oddziaływa na jego usposobienie i charakter, rodzi cierpienia niewysłowione, obrzydza mu życie i pracę.

To jest podkład moralny stosunków „dworsko-służbowych,“ na które dotąd nikt nie zwrócił uwagi, pomimo że prasa nasza niezliczone razy przeżuwała sprawy oficyalistów rolnych i oświetlała je w najróżnorodniejszy sposób. P. J. A. Meyer w 44 nr. *Rolnika i Hodowcy*, mówiąc o warunkach bytu tych pracowników, dotyka trochę ich strony materyalnej, która ma łączność z tem, cośmy wyżej powiedzieli. „Dziś co może wiązać oficyalistę z pracodawcą (raczej *pracobiercą*; *aut.*); pyta p. M.—Czy te 50 do 100 rs. pensyi, płaconej ekonomowi i 100—300 rządcy, która im nie pozwala myśleć o niezbędnych przedmiotach garderoby, przy nędznem odżywianiu się kaszą, kartoflami, kluskami

i mlekiem—nie zawsze? Czy człowiek w podobny sposób żywiony, może chętnie, tj. z przyjemnością oddać się pracy gospodarskiej, najmozolniejszej ze wszystkich zawodów? Nie, nie może! Czy jeżeli ten człowiek, nie mający innego towarzystwa prócz parobków wiejskich i innych książek prócz regestrów zbożowych, na których się zaczyna i kończy jego literatura, może się podnieść, uszlachetnić? Nigdy! Ludzie ci stoją nizko, bośmy ich tak postawili i dla tego nie mamy prawa potępiać ich za własne grzechy, względem nich popełnione; należy im się od nas współczucie i pomoc, a nie rzucanie błotem.“ W innem miejscu autor mówi: „Kraj nasz stoi dosyć wysoko pod względem kultury; klasę chlebodawców przynajmniej w większości możemy zaliczyć do inteligencyi; a czy ta inteligencya, to obywatelstwo te świeczniki społeczeństwa (?) nie powinnyby same pomyśleć o szkołach, przynajmniej dla niższych oficyalistów?“ Autor utrzymuje, iż zamożniejsze ziemiaństwo mogłoby szkoły takie zakładać zbiorowemi siłami. W tym celu radzi właścicielom ziemskim, aby się obłożyli podatkiem dobrowolnym w stosunku 5 kop. od dziesięciny gruntu, lub 1 kop. od puda zboża sprzedanego. Wytworzyłby się ztąd fundusz na utrzymanie jednej szkoły w każdym powiecie. Redakcya *Rolnika i Hodowcy*, dając głos autorowi tego projektu, czyni pewne zastrzeżenia; między innemi twierdzi, że ziemianie tyle już mają opłat od morgi, że dalsze w tym względzie przeciąganie struny groziłoby pęknięciem. W wielu wypadkach niewątpliwie i dziś ta struna jest niebezpiecznie natężona; ale przecież p. Meyer mówi o ziemianach zamożniejszych; zresztą jeżeli ten podatek od ziemi lub produktów rolnych przeraża, to nie bierzmy go dosłownie. Chodzi o to, ażeby ziemianie dopomogli do tworzenia szkół fachowych, które opłacilyby im z lichwą pieniądze, ofiarowane w postaci produkcyjnej pracy ludzi, uzdolnionych fachowo. Może wtedy, dzięki przysparzaniu przez nich dochodu, byliby oni sprawiedliwiej niż dziś wynagradzani. Zdarzało się nam nieraz stwierdzać fakty wprost bajecznie nizkiej płacy oficyalistów, posiadających rodzinę i jakie takie wymagania, zrodzone z pewnego wykształcenia.

Oto jest czynnik, który po za względami czysto moralnej natury działa rozkładowo na charakter i sumienie większości pracowników wiejskich. Wypełniają oni istotnie luki ze spichrzów ziemianina i gdy raz w tem zasmakują, brną dalej nałogowo i zniesławiają sporą garść nieskazitelnie uczciwych, tych podobnych do wyżła, który zdolny jest zdechnąć z głodu pod stołem z obfitą zastawą. I tylko w dusze owych *silniejszych* zapada ziarno zniechęcenia, wyrażonego często przysłowiem: „Bądźcie panu wierni, a on was oczerni.“

Niech ziemianie zechcą uwzględnić przedstawione przez nas oświetlenie kwestyi, a niewątpliwie, jeżeli zdołają w sobie rozwinąć pierwiastki bezstronności—łatwo znajdą śród siebie całe kolonie owych *zarazków*, które chcą dopatrzyć śród swych oficyalistów. Radzą o ich losach i nawet ze sporą dozą szczerości; ale nie dość jest obmyślić formę ubezpieczenia lub jakiejś kasy; trzeba jeszcze rozwarzyć i rozbudzić etykę własną, trzeba obok pomysłów i przepisów asekuracyjnych z drobiazgowem obliczeniem składek, ułożyć regulamin postępowania z pracownikami i ich traktowania, obmyślić wzory kontraktów, w których byłyby ściśle określone obowiązki oficyalisty; należy szanować jego naukę (jeżeli ją posiada) i doświadczenie, nie narzucać bezmyślnej fantazyi (szkodzącej interesom majątku i gorliwości pracownika), dla tego tylko, iżby pokazać, że się ma wolę. Wreszcie należałoby obliczyć, ile się wydaje na rzeczy niepotrzebne, a ile z tych rubryk dałoby się ująć na rzecz wynagrodzenia oficyalistów i w końcu zbadać, jaki wpływ na gospodarkę wywarłaby lepsza ocena pracy owych rzesz, wprzęgniętych do rolnictwa. Uczyńcie to, panowie, a prędzej dojdziecie do możliwie znośnego uregulowania stosunków służbowo-dworskich i do poprawienia doli tych, którym powierzacie swoje warsztaty.

*Zen. Piet.*

# LIBERUM VETO.

Kwiat jesieni. — Chryzantemy w zakładzie Kaczyńskich. — Troszeczkę poezyi. — Echo z Żelazowej Woli w Paryżu. — Chopin jako francuz. — Nasze kalendarze i skutki zaufania do ich kłamstwa. — Potrzeba informatora ścisłego. — Losy geografii fizycznej Nałkowskiego i położenie niezamożnego badacza pod skrzydłami instytucyi opiekuńczej. — Troszkę mniej Homera.

Obecna jesień nie jest zdrową, świeżą, dojrzałą kobietą, ale rozkapryszoną i rozbeczaną histeryczką, która ustawicznie przerzuca się z najlepszego w najgorszy humor i bywa wesołą lub smutną wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewa. Gdy śliczna wiosna dawnych poetów przeszła do bajki, nowocześni zaczęli u nas poszukiwać jakiejś pory roku, której mogliby składać hołdy—i wybrali jesień. Rzeczywiście, bywa ona nieraz ładna, ale najżyczliwsze chęci nie mogły dopatrzeć w niej wdzięku, którego ona nie ma, a który dać by jej mogły tylko kwiaty. Październik, listopad i grudzień—to miesiące najuboższe pod tym względem, daleko biedniejsze, niż styczeń, luty i marzec. W zimie bowiem już ogrodnicy nasi mają „pędzone“ hiacynty, fijołki, bzy, azalie, róże itd., już w szklarniach śmieją się tysiące barwnych główek, wyglądających przez okna nadejścia wiosny. Tę wszakże jesienną szczerbę w ostatnich czasach wypełniono znakomicie, wytworzywszy, a raczej uszlachetniwszy prawdziwy kwiat jesieni — chrysantemum (jastrun). Konopnicka, która to, co czci, wymownie czcić umie, złożyła mu hołd z najgorętszych zachwytów i postawiła go nawet po nad różą. Korony królowej kwiatów nie zdejmę, uważałbym to bowiem za niesprawiedliwy zamach stanu w imieniu pretendenta, który musi uznać prawa zwierzchnictwa monarchini. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że chryzantem jest kwiatem dziwnej oryginalności i urody. Rozmaity w układzie, począwszy od kształtów, przypominających astry i georginie, aż do fantastycznych, z rozwianym bezładnie włosem główek, strojący się w przepyszne barwy, jest zjawiskiem niezwyczajnem, uderzającem szczególną wytwornością i poetycznym urokiem na ubogiem tle jesieni. Obecnie przepyszny dobór jastrunów w Warszawie posiada zakład ogrodniczy Braci Kaczyńskich—i radzę każdemu, komu oczy wyżera pył powszedniości, komu obmierzła proza życia i walka o byt pod sztandarem rubla, kto chce odświeżyć wzrok, umysł, uczucie widokiem piękna, które sprawia rozkosz a nie kłamie, nie oszukuje, żadnej podłej myśli nie nasuwa, niech postara się zobaczyć tę wiosnę pod szkłem w jesieni. Jest to nawet główny powód tej wzmianki. Ludzie, którzy mają zbytek czasu i nie umieją go przyjemnie zużyć, zamiast szlifować bruki, jeżdżić bez celu i potrzeby koleją Wilanowską, ogładać kłaniające się konie i bijących się w policzki błaznów cyrkowych lub głupowatą farsę francuską, doprawdy doznaliby daleko silniejszych i szlachetniejszych wrażeń, gdyby odwiedzali kwiaty. Mówię: szlachetniejszych, gdyż z własnego doświadczenia zapewnić mogę, że im pod tym względem zawdzięczam wiele. Są czasy, które kwitną, roztaczają upajającą woń, dają duszy zadowolenie; są inne, które cuchną gniciem i odurzają zabójczymi wyziewami. Takim jest nasz czas, w którym cnyka wzięła w opiekę szachrajów, a literatura wetknęła nasze nosy w rozmaite padliny życia i każe nam, jak sępom, rozkoszować ich strasznym odorem. W takiej epoce trzeba zwracać się do kwiatów.

O, nieba! — zaledwie własnym uszom wierzyć można: echo obchodu w Żelazowej Woli zaleciało aż do Paryża. Francuzi, dla których cała kula ziemska nie istniałaby, gdyby na niej nie sprzedawali swych *articles*, raczyli rzucić łaskawe spojrzenie na Chopina i to w znacznej części dzięki temu, że był ich antropologicznym krewniakiem. Ale nawet i w tej łasce wylazło z worka nieporównane szydło ich wiedzy. Fejletonista dziennika *Paris* radzi uczcić nieśmiertelnego artystę pomnikiem w Paryżu dlatego — uważajcie — przedewszystkiem dlatego, że stworzył on „marsz żałobny“ bardziej wzruszający, niż podobne utwory Beethovena, Wagnera i Berlioza. Nie przeczę, że jest to kompozycya piękna, ale chyba nie na nią paść winien akcent wielkości Chopina. Uczynić ją punktem szczytowym jego geniuszu, znaczyłoby to samo, co wystawić pomnik Słowackiemu z napisem: „autorowi *Grobu Agamemnona*.“ Ale po co tu sprzeczać się o tytuł wielkości i zasługi, kiedy go nie ma na czem położyć! Fejletonista francuski dziwi się, że dotychczas żadne większe miasto w Europie nie wystawiło pomnika Chopinowi i namawia do tego... Paryż. Żywię niezłomne przekonanie, że nie będziemy potrzebowali jeździć na tę uroczystość. Naprzód francuzi są narodem tak mało muzykalnym, że odrobina znawstwa i zamiłowania nie rozpali w nich wielkiego zapału; powtóre, jak żaden chyba inny naród na świecie, oprócz dzikich, nie pojmują oni znaczenia i wartości niczego, co nie jest francuskiem. W całym Chopinie najwyżej cenią jego nazwisko. Gdyby to był *ski*, *wicz* lub *man*, nie przyszłoby im nawet na myśl upominać się o pomnik dla niego, zwłaszcza w Paryżu. Nie ulega też wątpliwości, że gdyby spełnili pobożny zamiar fejletonisty, wysławiliby przedewszystkiem ogonek własnej liszki i tak wysoko podnieśliby francuski rodowód Chopina, że ostatecznie zniknęłaby w tej chwale inna domieszka jego krwi.

Proponuję wystawić bodaj mały pomnik temu, kto u nas obmyśli i wydawać będzie rzeczywiście pożyteczny kalendarz. Jeszcze jeden?—zawołasz czytelniku, przerażony corocznie spadającym gradem tego rodzaju wydawnictw. Tak, jeszcze jeden i bodajby jedyny. Bo co to jest dzisiejszy nasz kalendarz? Wiązka konceptów i ogłoszeń, albo też — wiązka świętych obrazków, nekrologów, lichych powiastek, lichszych wierszy, a najlichszych artykułów naukowych, błędnych informacyj i znowu ogłoszeń. Fabrykanci tej tandety nie mogą w żaden sposób zrozumieć dotąd kilku bardzo jasnych rzeczy: 1) że nikt nie ćwiczy swej pobożności na kalendarzu, 2) nikt nie wymaga literatury od kalendarza i 3) że każdy szuka informacyi w kalendarzu. Nawet pod ciemną gwiazdą w zakątku prowincyonalnym wymarli już ludzie, którzyby z tego źródła czerpali swój pokarm duchowy — te czasy dawno minęły. Natomiast pod jasnemi gwiazdami, zarówno w miastach, jak i we wsiach, istnieją ludzie, którzy chcą, bo potrzebują wiedzieć: gdzie mieszka jakiś adwokat, lekarz lub geometra; gdzie się mieści taka lub inna szkoła i jakie są warunki wstępu do niej; kiedy przypada jarmark lub termin płacenia podymnego; ile się płaci za wysłanie depeszy lub paczki pocztą lub koleją itd. Życie stawia codziennie przed nami mnóstwo pytań drobnych, a jednak praktycz-

nie ważnych, na które nie umiemy sobie odpowiedzieć naszą wiedzą, a musimy mieć informacyę natychmiastową, po którą zwracamy się zwykle do kalendarza. Tymczasem albo nie znajdujemy w nim żadnego objaśnienia, albo — co gorsza—błędne. Zawierzywszy mu, posyłasz telegram do lekarza lub adwokata w Warszawie pod wskazanym w kalendarzu adresem i pewny jesteś, że pierwszy przyjedzie do chorego, a drugi sprawę ci załatwi. Po długiem, daremnem czekaniu przekonywasz się, że telegramów nie odebrali, gdyż od roku lub dwu lat zmienili mieszkanie. A takich, nieraz fatalnych zawodów, zdarzają się tysiące, dzięki fałszywym informacyom kalendarzowym. Objaśnienie wtedy tylko ma wartość, kiedy jest ścisłe. Jeżeli zaś przewodniki po Europie mogą być wydawane co parę miesięcy dlatego, ażeby mogły uwzględnić każdy nowy hotel w jakiemś mieście, zmianę taksy dorożek lub rozkładu jazdy kolejowej, to chyba my powinniśmy zdobyć się na kalendarz z informacyami ścisłemi, zwłaszcza że większa ich część powtarza się stale z roku na rok.

Jeden z czytelników zapytuje nas, co się stało z *Geografią fizyczną* W. Nałkowskiego, o której kiedyś wspominaliśmy. Ponieważ wszystkie kalendarze o niej milczą, więc zwróciliśmy się po wyjaśnienie na inną drogę, a otrzymaliśmy tak charakterystyczne, że uważamy za godne szerszej uwagi. P. W. N. opracował przed 5 laty dla wydawnictw Kasy Mianowskiego *Geografię fizyczną*, obejmującą około 40 arkuszy druku, za którą miał dostać po *15 rs.* od arkusza, a otrzymał 500 rs. zaliczki. Czy to skutkiem przerwania „Biblioteki matematycznej,“ której ogniwo dzieło to stanowić miało, czy skutkiem jakiejś innej przyczyny, dość że rękopis spoczął u kogoś w szufladzie. Na nieszczęście praca tego rodzaju nie jest ani winem, ani pudełkiem cygar, których wartość wzrasta na odleżeniu się. Przeciwnie, wiedza przez lat pięć zrobiła kilka dużych kroków naprzód i autor, który nie chce pozostać za nią w tyle, musi ją dogonić i nowe jej zdobycze do swego dzieła wcielić. Ale ponieważ nie siedzi ze swym szkopkiem pod żadną dojną krową, lecz musi środki swego bytu wyrąbywać ciężkim oskardem z twardej skały życia, więc zwrócił się do Kasy Mianowskiego z prośbą o skromną zapomogę na kupienie niezbędnych książek i umożliwienie paromiesięcznej pracy dla dopełnień i zmian w rękopisie. Kasa odmówiła, tłomacząc się brakiem pieniędzy. Przypuszczamy, że ona istotnie wyczerpała się, ale naprzód to wyczerpanie może być tylko chwilowem, a powtóre, czyby dla uniknięcia podobnych niedostatków nie należało ograniczyć swej hojności w innym kierunku? Faktem jest, że Kasa rozdaje nieraz setki i tysiące rubli na „prace naukowe,“ których owocu ludzkie oko nigdy nie ogląda. Tymczasem w obecnym wypadku ten owoc jest gotowy, dlaczegóż go więc lekceważyć i pozwolić mu więdnąć? Nie będąc nawet ubogim badaczem, łatwo zrozumieć położenie autora, któremu jego dzieła we właściwej porze nie wydano, który po pięciu latach zwłoki nie może go w pożądany sposób uzupełnić i który nie chce z lekkiem sercem skazać na zagładę tego, w co włożył kawał swego umysłowego życia i trudów, zwłaszcza gdy ma nadzieję swą książką uczynić zadość naukowej potrzebie swego społeczeństwa. Kasa wie, ile pieniędzy straciła na rozmaite podróże, studya, badania itd., po których ślad pozostał tylko w jej rachunkach „umorzonych długów,“ czyż więc będzie skąpić paruset rubli na wydanie *Geografi fizycznej*, której nie mamy, ona, która jest tak szczodrą dla tłomaczów Homera, tylokrotnie u nas przełożonego? Byłoby to wprost zabawnem.

*Poseł Prawdy.*

## W DALI.

**Płock.** Miasto nareszcie otrzyma w bieżącym miesiącu wodociągi. Wszystkie już budowle wykończono. Wieża ciśnień ma przeszło 30 metrów wysokości. Na stacyi wodociągowej dla pośpiechu robota w dzień i w nocy nie przerywa się ani na chwilę. Są tam obecnie montowane kotły, pompy i maszyny. Stacye wodociągowe otrzymają oświetlenie elektryczne (wewnątrz lampki żarowe, zewnątrz — łukowe). Przy tej sposobności władze miejskie zwróciły się do zarządu Towarzystwa wodociągów z prośbą o oświetlenie elektryczne dla całego miasta; ale dano na to odpowiedź odmowną z powodu zbyt małej sumy, proponowanej na koszt tych robót. — Wielu właścicieli ziemskich w gub. płockiej oddala znaczną część służby, gdyż nie będzie mogła utrzymać jej przez zimę.

**Włocławek.** Mieszkańcy nie mogą jeszcze oswoić się z odebraniem im szkoły realnej i przeniesieniem jej do Kalisza. Z tego powodu odrazu dał się czuć dotkliwy brak nauczycieli i korepetytorów. Jeżeliby ktoś z pracowników na polu pedagogicznem zechciał tam osiąść, znalazłby dużo pracy i dobre utrzymanie, względnie do potrzeb tego małego środowiska. Dziś Włocławek nie posiada wcale średniego zakładu naukowego. Miasto więc czyni usilne starania o utworzenie szkoły rzemiosł, według typu zakładów Konarskiego. Środki materyalne mogą być zapewnione, gdyż miasto zobowiązuje się płacić na ten cel kilka tysięcy rubli rocznie.

**Radom.** Miejscowy lekarz, dr. Henryk Fidler, wyjechał do Berlina i Paryża dla zapoznania się z nowym sposobem leczenia dyfterytu.— Kuchnia bezpłatna dla żydów utrwali się już jako stała instytucya. Niedawno fundusze jej zasilił p. Jan Bloch. — W dobrach Krasna (okolice Szydłowca), należących do p. T. Dutkiewicza, otwarto przy wielkim piecu odlewnię żelaza, zatrudniającą około 60 ludzi. W tymże majątku znaleziono bogate pokłady rudy żelaznej. Zawiera się ona w łupku węglowym; podług zaś analizy, dokonanej w Radomiu, ma 35% żelaza przy 0,04% fosforu i 0,02% siarki, a więc pod względem wydajności żelaza ruda owa należy do lepszych w kraju. Krasna w tamtejszych okolicach jest jedynym majątkiem ziemskim, posiadającym, oprócz rudy, wapień, niezbędny przy produkcyi „surówki“ w wielkich piecach. Nadto, są tam jeszcze cienkie pokłady węgla kamiennego. Ludność włościańska głównie utrzymuje się z zarobków w fabrykach okolicznych.

**Dąbrowa Górnicza.** Projekt ustawy normalnej dla kas szpitalnych w kopalniach i przy zakładach górniczych w gub. Królestwa Polskiego przedstawiony został ministeryum spraw wewnętrznych do zatwierdzenia. Kasy tę, mające na celu pomoc w razie choroby lub śmierci robotnika, już istnieją oddawna, ale działały bez stosownej ustawy. Obecnie górnicy opracowali projekt na podstawie własnych przepisów fabrycznych i przedstawili go — jak donosi *Warsz. Dziewnik* — do zatwierdzenia ministeryum. Do kasy winni należeć wszyscy robotnicy, płacący składki, nieprzewyższające 3% ich miesięcznych zarobków, o ile wynagrodzenie ich nie przekracza 500 rubli rocznie. Właściciele kopalni obowiązani wnosić do kasy tyleż co robotnicy. Instytucye te, w razie choroby któregokolwiek z członków, udzielają pomocy i środków lekarskich bezpłatnie, dają zasiłki pieniężne przez cały czas trwania choroby i na koszt pogrzebu w razie śmierci.

**Lublin.** Skutkiem otwarcia trzeciego kursu w Instytucie agronomiczno-leśnym w Nowej Aleksandryi, przybyli nowi profesorowie: pp. Fortunatow na katedrę statystyki, Orłow na katedrę taksacyi lasów, Bury — leśnictwa i Kaługin—zootechniki. Na I-szy kurs przyjęto 62 studentów, na kurs trzeci odrazu dwóch słuchaczów, którzy ukończyli uniwersytet ze stopniami kandydatów nauk fizyczno-matematycznych.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### Z GALICYI.

*Lwów, 31 października.*

Stała i czasowa wystawa rolnictwa w kraju, prawie wyłącznie rolniczym, ujawniła wiele niedostatków. Przyczyny tego stanu leżą w warunkach społecznych i historycznych, które w części przynajmniej odsłonił „Pamiętnik galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego,“ wydany przez Łopuszańskiego w 50-tą rocznicę założenia owej instytucyi, ogniskującej stan naszego gospodarstwa na roli.

Pobudkę do połączenia rolników galicyjskich dla wspólnej pracy dało nader ciężkie i z każdym rokiem pogorszające się ich położenie, wywołane w części ogólnymi stosunkami państwa, do którego przyłączono Galicyę, w części zaś warunkami krajowymi. Po wojnach napoleońskich, które olbrzymich, jak na owe czasy, wymagały ofiar i w ludziach i w pieniądzach, po wstrząśnieniach bardzo dotkliwych, jakich doznał kraj skutkiem pożyczek przymusowych i dwukrotnej redukcyi waluty papierowej — siły gospodarcze Galicyi były całkowicie wyczerpane. Wprawdzie po kongresie wiedeńskim nastały lata pokoju, w których rolnictwo mogło podźwignąć się po owych klęskach. Niestety, warunki polityczne, z którymi musiano się liczyć, nie mogąc wpłynąć na ich zmianę, utrudniały pracę około rozwoju rolnictwa.

Położenie ówczesne kreślą w dosadnych rysach adresy sejmów stanowych, korzystających skrzętnie z jedynej sposobności przedstawienia monarsze potrzeb kraju. „Ciągłe ubywanie monet — powiada sejm w adresie do tronu z r. 1820 — wywołuje ustawiczne zniżanie cen wszystkich produktów naszej ziemi. Rolnicy więcej wydają ziemiopłodów, niż tego wymaga spożycie wewnętrzne. W latach urodzajniejszych cena zboża musi koniecznie spadać, przytem zaszliśmy już tak daleko, iż niektóre, a osobliwie jare ziarna, nie zwracają kosztów uprawy. Wskutek tego oddajemy dziś na zapłacenie podatków półtrzecia razy więcej pracy i płodów naszej ziemi, niż przed kilku laty.“ „Ojczyzna nasza nigdy w tak okropnym nie była stanie, niedostatek pieniężny jest powszechny: rolnik uprawia ze wstrętem ziemię, która nie nagradza jego pracy; handel jest nieczynny. Kapitały odrywane od gleby i obracane na spłatę podatków, cofają rolnictwo, wartość ziemi spada w zastraszający sposób i wszelki kredyt obala. Kiedy zastanowimy się nad stanem naszego kraju i porównamy, czem on był przed dziesięciu laty, a czem jest teraz, ze smutkiem przekonywamy się, że wartość ziemi i wogóle wszystkich majątków przynajmniej o trzecią część spadła. Ludność najdotkliwiej odczuwała wówczas wzrost ciężarów podatku w trójnasób podwyższonego, który stawał się jeszcze dotkliwszym wskutek nierównomiernego rozkładu, przeprowadzonego przez władze, nieznające stosunków krajowych i nam niechętne.

Z czterech milionów mieszkańców, które posiadała Galicya w trzecim dziesiątku lat bieżącego stulecia, rolnicy stanowili część przeważną, bo zaledwie 500,000 ludzi żyło z innego zarobku. Największa część ludności mieszkała na własnych gospodarstwach, zaspokajając wszelkie potrzeby, podówczas bardzo skromne, ze sprzedaży nadwyżki swej produkcyi; właściwych zaś konsumentów płodów rolnych

tworzyli mieszkańcy kilkunastu większych miast i żydzi, osiedli po wioskach jako szynkarze lub wiernicy po gorzelniach. Ludność mniejszych miasteczek, z wyjątkiem nielicznych rzemieślników, których brak odczuwano, trudniła się przeważnie rolnictwem i tylko w chwilach wolnych od tej pracy zajmowała się w wielu okolicach przemysłem domowym, rozpowszechnionym również między ludem wiejskim. Przemysł ten jednak już w owych czasach zamiast podnosić się i rozwijać pod wpływem współzawodnictwa produkcyi innych krajów koronnych, ograniczał się coraz więcej do zaspokajania jenynie własnej potrzeby wytwórców lub ich najbliższego otoczenia i stopniowo zanikał. Nie było tedy w kraju stałego, miejscowego zbytu dla nadwyżki płodów rolniczych. Odbyt do dalszych okolic kraju, a tem bardziej po za jego granice, był wielce utrudniony przez niedostateczność urządzeń komunikacyjnych.

Z przejściem Galicyi pod panowanie austryackie, nie uwzględniając stosunków ekonomicznych, poprzecinano w poprzek wyrobione od wieków drogi handlowe. Minąć musiało lat kilkadziesiąt, zanim się przystosowało gospodarstwo społeczne do nowych kierunków handlu, dążących głównie ku zachodowi w poprzek dróg wodnych przez całą długość kraju. A wówczas nawet, gdy wybudowano sieć kolei żelaznych dla wywozu płodów surowych, jakich jedynie dostarczała Galicya, najdogodniejszemi drogami były zawsze jeszcze wodne. Nieuregulowane jednak koryto Dniestru i jego większych dopływów, nie dozwalało Galicyi brać znaczniejszego udziału w handlu czarnomorskim. Pozostawał tedy targ gdański. Tam wszelako napotykano takie współzawodnictwo zboża, spławianego z Królestwa i Prus, że według świadectwa adresu sejmowego z r. 1829, setki tysięcy korcy zboża galicyjskiego leżały na składach gdańskich, zatęchłe i wilgotne, dopóki go nie sprzedano za połowę ceny targowej. Towary szły do nas „von Oben," podobnie jak dzisiaj trakt wiedeński był główną arteryą handlu dowozowego z miast niemieckich i fabrycznych okolic Szlązka, Morawy i Czech. Tysiące bryk ładownych, ciągnionych przez rosłe i ciężkie konie fryzyjskie lub meklemburskie, wiozły po nim dnierr i nocą towar zagraniczny, a nawet zamorski do przydrożnych miast Galicyi i zabierały stamtąd z powrotem polskie zboże, okowitę, wełnę, skórę, len, szmaty itp. Środkiem Galicyi szedł trakt wołowy, drogą zwykłą, nawet rowami nieokopaną. Od wiosny aż do późnej, byle pogodnej, jesieni przesuwały się tu zwolna to stada wołów besarabskich i multańskich, to bydło opasowe, przeznaczone na wywóz zagraniczny. Z niemi kroczyły stada owiec podpasionych na ścierniskach, gromady tuczonych wieprzów, a nawet biegły indyki i gęsi, których ostatnim celem tej mimowolnej podróży był... Wiedeń.

Połączenie Galicyi torem kolejowym z targowicami zagranicznemi stało wówczas jeszcze w epoce niesformułowanych projektów. Przed ich urzeczywistnieniem kraj był na uboczu handlu europejskiego, nie połączony ze swymi spożywcami płodów rolniczych, ani siecią kolejową, ani uregulowaną żeglugą, wewnątrz zaś ubogi w linie komunikacyjne. Wśród tak przykrych stosunków, utrudniających wszelki rozwój rolnictwa i jego ubocznych gałęzi, nie znać w owych czasach żadnej czynności rządu—chyba w poborze podatków i rekruta oraz w podniecaniu przewlekłych sporów między dziedzicami a włościanami o przeciążaniu robotą pańszczyźnianą, lub o lasy i pastwiska. Nadomiar złego krótkowidząca polityka rządu czyniła nadzwyczajne trudności wszelkim przedsiębiorstwom przemysłowym, dusząc je w zarodku tysiącem środków fiskalnych i ciężarem olbrzymich opłat. Wymienię tu tylko obowiązek stemplowania wyrobów krajowych, aż w Wiedniu lub w Bernie, przez co zwiększały się znacznie koszty towaru i co było przyczyną dobrowolnego zwinięcia wielu przedsiębiorstw, założonych przy pomocy dużych kapitałów i rokujących pomyślne nadzieje (jak np. fabryki sukna w Mikulińcach). Macosza opieka rządu nad przemysłem krajowym przeszkadzała oczywiście wytwarzaniu się liczniejszej konsumcyi miejscowej ziemiopłodów i wogóle podniesieniu rolnictwa. Rząd postępował na podobieństwo dzierżawcy, wysysającego ziemię. W trosce o swoje prowincye niemieckie, dla których Galicya miała być najtańszym dostawcą płodów gospodarstwa wiejskiego, szedł jeszcze dalej w krzywdzeniu jej rolnictwa, zamykał bowiem granice monarchii dla wywozu jego płodów, lub obarczał je cłami wychodowemi do wysokości 8% ceny targowej a otwierając równocześnie granicę od wschodu dla dowozu stamtąd zboża i bydła, bez względu, że zawlekaniem zarazy bydlęcej i stwarzaniem silnego współzawodnictwa na targach zbożowych podkopywał coraz głębiej zachwiany byt swych rolników. Nawet wielka myśl reformy społecznej i gospodarczej, wyłaniająca się przez zniesienie poddaństwa, poruszana kilkakrotnie przez sejmy stanowe i opracowana w najdrobniejszych szczegółach przez zasłużonego wice-marszałka stanów, Tadeusza Wasilowskiego, zbywano milczeniem lub odsuwano w daleką przyszłość. Dopiero coraz silniej i powszechniej objawiający się w tym zakresie ruch umysłów skłonił rząd do ujęcia tej sprawy w swoje ręce i do przeprowadzenia jej z pośpiechem, bez należytego przygotowania i korzyści.

(D. n.).

*Prościcki.*

## ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Konkurencya zbożowa.—Meyer.—Nowi rywale i skutki wzrostu wytwórczości w ciepłych krajach.—Koszty produkcyi.—Wtargnięcie motorów mechanicznych na wieś, akumulatory elektryczne w rolnictwie.— Uwagi.

Do wszystkiego można się z czasem przyzwyczaić. Kiedy współzawodnictwo zbożowe zaczynało dopiero rozwielmożniać się, lamenty ziemiańskie wtedy nie znały granic. Uderzono w prasie na trwogę, rządy wysłały specyalistów, którzyby na miejscu, za oceanem, przekonali się, ażali długo jeszcze rywale tamtejsi będą zdolni do takiej taniej sprzedaży ziarna. Od tego alarmu minęło lat dziesięć, konkurencya jeszcze bardziej wzmogła się w swojem napięciu, spadek renty ziemskiej zaszedł tak daleko, że grozi zagładą owej postaci dochodu, a jednak o tem współzawodnictwie stosunkowo tak cicho, jak gdyby nic podobnego nie było na świecie. Piszę to pod świeżem wrażeniem rozmowy z pewnym „kimś", który wprost zdziwił się, kiedym zaczął dowodzić: że konkurencya amerykańska istnieje w całej swojej mocy, zdawało mu się bowiem, że ją już pogrzebano, ceny zaś zboża spadają sobie ot tak z łaski na uciechę. Tymczasem współzawodnictwo zamorskie nie tylko nie ustało, ale owszem według wszelkiego prawdopodobieństwa wzrastać będzie nadal. Właśnie świeżo zapoznaliśmy się z nową książką Rudolfa Meyera. Postać to oryginalna. Konserwatysta do szpiku kości i monarchista w duchu tradycyi Hohenzollernów, musiał za granicami ojczyzny szukać schronienia za to, że ośmielił się rzucić rękawicę Bismarkowi. W rozwoju nowoczesnym Niemiec odgrywa on rolę Kassandry, której za swoje przepowiednie ściągała na siebie nienawiść i gniewy. Tak samo Meyer oddawna biada nad krótkowzrocznością i samolubstwem junkrów i nadaremnie nawoływa ich do opamiętania. Obecnie znowu wydał tom olbrzymi takich jeremiad, w którym wróży, że kapryśna ewolucya ekonomiczna może zmieść rentę ziemską wraz z junkrami, jeśli ci nie wezmą się do pracy i postępu technicznego. Między innemi, z tego powodu ów „posępny przyjaciel" wypowiada swoje zdanie o przyszłości współzawodnictwa zbożowego.

Twierdzi on stanowczo, że naprzód obszar terytoryów, wysyłających zboże na rynek międzynarodowy, będzie wzrastał skutkiem tego, iż do walki konkurencyjnej występują w coraz liczniejszym poczcie kraje półkuli południowej, powtóre zaś, że zboże północne będzie posiadało coraz mniej zdolności wytrzymania takiego współzawodnictwa, wreszcie najważniejsza, że do wyścigów rywalizacyjnych stają kraje ciepłe. W r. 1888 z ogólnej ilości zboża (22½ milionów tonn), wywożonego za granice, przypadło na kraje, nieposiadające niemal zimy, tylko 10%, wówczas kiedy reszta pochodziła z okolic, gdzie pora zimowa jest surowa i zmusza do przerwania wszystkich robót w polu. Rozmiary to bardzo skromne, ale wyglądają one poważnie, jeśli nadmienimy, że kraje ciepłe jeszcze przed kilkunastu laty nie wysyłały nawet ani źdźbła zboża na rynek międzynarodowy. Wywóz np. pszenicy z Indyj Przedgangesowych prawie nie istniał przed laty dwudziestu, tymczasem w ostatnich czasach, stosownie do urodzajów, wędruje stamtąd do Europy rocznie od 13 do 22 milionów centnarów ang. Rzeczpospolita argentyńska w r. 1881 wywiozła ziarna za sumę 170 tysięcy dolarów, w roku zaś 1889 eksport jej zbożowy przedstawiał wartość aż piętnastu milionów. Uruguay rozpoczął swoją karyerę konkurencyjną zaledwie w r. 1885 skromną cyfrą 20 tysięcy centnarów metrycznych, w r. 1888 wywiózł już dwa razy większą. Meyer spodziewa się, że do takich współzawodników, z których każdy stawia dopiero pierwsze kroki, niebawem przybędzie Venezuela, i powinien był dodać też państwa Naddunajskie *). Słowem, ziarno, pochodzące z krajów ciepłych, zdobywa sobie na rynku międzynarodowym coraz większe prawa obywatelstwa. Jest ono rywalem niebezpiecznym. Ponieważ zima bywa tam łagodną, przeto rolnik nie potrzebuje wkładać kapitałów w budynki lub obory, oszczędza kosztów opału, pokarm jego może być mniej pożywny, a zatem tańszy, niż w krajach chłodnych, gleba nie zamarza podczas zimy i z tego powodu, z wyjątkiem pory dżdżystej, daje się uprawiać w ciągu dłuższego czasu, więc ziemianin może zaspokoić potrzeby swojego gospodarstwa mniejszą ilością bydła jucznego, pracę rozkłada na wiele miesięcy. W ten sposób produkcya zboża w krajach ciepłych, już na mocy warunków klimatycznych, musi być tańszą. Nawet dla Stanów Zjednoczonych terytorya Natalu i Kaplandu, Uruguaju i Venezueli grożą niebezpieczeństwem. Wprawdzie dzisiaj nie jest ono zbyt wielkie, ale nikt nie może ręczyć, co będzie za lat kilkanaście, kraje południowe szybko się bowiem cywilizują, wiek pary nawet na osadnictwie wycisnął swe piętno i sprawia, że pustkowia z nad nurtów La Platy niebawem mogą zamienić się na stepy pszenne. Ameryka północna traci z każdym rokiem swoje zdolności pochłaniania potoku imigracyjnego, który zaczyna już szukać innego łożyska. Kiedy zaś wychodźcy zaczną kolonizować masowo kraje ciepłe, nie zabraknie wtedy także kapitałów ani głów przedsiębiorczych, które na

*) Dat świeższych Meyer nie podaje. Zresztą najświeższe nie przekraczają 1891, względnie 1892. Przynajmniej nie ma ich w dostępnem opracowaniu.

ziemi, wolnej od wszelkich chwastów rutyny historycznej, nie omieszkają zastosować zgoła nowych wzorów techniki rolnej. Wraz z tem jeszcze inne zjawisko zapanuje na rynku międzynarodowym. Warunki klimatyczne, w jakich dotychczas wytwarzano zboże, sprawiły, że ceny na przednówku szły do góry. Rywalizacya krajów z półkuli południowej oraz terytoryów, nieznających zimy, już dzisiaj zachwiała zwyżkę cen w tradycyjnie ciężkim okresie roku i sprowadziła ich spadek ku jesieni. Gdybyśmy chcieli ułożyć tabliczkę pór żniw według miesięcy, otrzymalibyśmy ten rezultat, że niemal one nie kończą się; w każdej chwili ludzie zbierają gdzieś plony swojej pracy. W miarę tego, jak Venezuele i Kaplandy będą dalej się rozwijały we wskazanym kierunku, środki zaś komunikacyjne — w swojej szybkości i taniości, owa ciągłość zacznie wywierać jak najfatalniejsze skutki i między innemi zniesie wszystkie rachunki, oparte na ufności, iż na przednówku ceny zboża podniosą się. Międzynarodowy rynek zbożowy wyzwoli się wtedy najzupełniej ze wszystkich pęt klimatu i zależności od pór roku.

Tak wygląda jeden szereg czynników, które mogą zaważyć na losach ziemianina europejskiego. Inny tkwi w szybkiem tempie ulepszeń technicznych w rolnictwie zamorskiem — szybszem, aniżeli wolno się spodziewać kiedyś dla naszej części świata. Ulepszenia te w zakresie uprawy gruntów, zmniejszając koszty produkcyi, tem samem zwiększyć muszą zdolność współzawodnictwa zagranicy dalekiej. R. Meyer kładzie nacisk zwłaszcza na rodzącej się obecnie dążności w gospodarstwie amerykańskiem, a polegającej na zastąpieniu żywej siły jucznej przez motory mechaniczne. Wiadomo, że młocarnia parowa i pług, poruszane przez tę samą siłę, oddawna pracują na polach Dakoty, i naturalnie nie to ma na względzie nasz teoretyk ekonomii rolnej. Myśli on zgoła o czems innem. Podczas pobytu za Atlantykiem oglądaliśmy wozy parowe, przeznaczone do zwożenia na folwark ciężarów, bryczki i sieczkarnie, poruszane przez motor elektryczny. Otóż te fakty i próby są dla R. Meyera zwiastunami nowego przełomu w rolnictwie amerykańskiem, który doprowadzi do dalszego stanienia zboża. Elektrotechnika zaczyna zdobywać sztukę gromadzenia siły odpowiedniej w akumulatorach i przenoszenia jej; wprawdzie nie zupełnie jeszcze załatwia się z tem zadaniem, bo takie zbiorowiska posiadają dotychczas małe napięcie siły, ale zwycięztwo woli ludzkiej w tej dziedzinie jest tylko kwestyą czasu. W każdym razie są one dostatecznie silne, ażeby wprawić w ruch bryczkę. Z drugiej strony technika nauczyła budować tanie i drobne motory, opalane przez naftę. Maszyna parowa, otrzymująca ciepło z opału węglowego a wynaleziona przez Serpolleta, ciągnie wóz ładowny, mieszczący 1,500 kilogramów ciężaru. Może jechać pod górę, gdzie spadek wynosi 13 na 100 i robi na godzinę 16 kilometrów, a zużytkowywa 3 kilogramy węgla na kilometr. Koszty zaś opału naftą będą jeszcze mniejsze. Już w dzisiejszej postaci taki motor, w porównaniu z użyciem żywej siły jucznej, daje oszczędności przeszło 30%. Technicy amerykańscy wypowiadają nadzieję, że właśnie takie przyrządy mechaniczne niebawem zapanują w rolnictwie, nawet na drobnej osadzie, zwłaszcza gdy postęp w gromadzeniu elektryczności pójdzie dalej. Plany ich w tej mierze, powtórzone przez R. Meyera, zakrawają jakby na opowieść z tysiąca i jednej nocy. W pobliżu każdego wielkiego wodospadu mają powstać olbrzymie akumulatory, w których będzie gromadzona siła elektryczna i rozdzielaną na pomniejsze zbiorniki, rozsyłane do ferm okolicznych. Podczas żniw, orki lub siejby, rolnik zamawiać będzie na tydzień *) kilka takich lub innych zbiorników, odsyłać je i brać nowonapełnione, tak samo jak to dzisiaj czynimy z transportami piwa. Zimą będzie ich używał w mniejszej ilości, tyle ile potrzeba do oświetlenia mieszkania i opału, do sieczkarni lub innych robót drugorzędnych. Meyer twierdzi, że lubo postęp taki należy do dalekiej przyszłości, niektóre jego szczegóły ujrzymy niebawem, rezultaty zaś będą obfite. Naprzód zastosowanie taniego motoru już bezpośrednio zmniejszy koszty produkcyi, nadto przyczyni się do tego pośrednio przez wygnanie z fermy obór. Zachowawca niemiecki nie może się powstrzymać ażeby nie naszkicować wpływów takiego przełomu na stosunki rolne w naszej części świata, jeśli akumulatory elektryczne zastąpią tutaj żywą siłę juczną. Bierze folwark, posiadający 650 morgów miary niemieckiej. Z tego obszaru odchodzi 150 morgów na łąki i uprawę roślin pastewnych, potrzebnych w gospodarstwie nabiałowem, 300 na pola zbożowe, pozostałe zaś dwieście wytwarzają jedynie paszę, niezbędną dla inwentarza. Produkt ten nie przedstawia wartości wymiennej, lecz tylko użytkową, idącą na potrzeby folwarku. Z zastosowaniem siły mechanicznej zamiast żywej, owe dwieście morgów mogą zostać użyte pod produkcyę zboża i wogóle ziarna, idącego na spożycie dla człowieka. Kraj więc zostaje powiększony jakby o jedną czwartą całej swojej przestrzeni, naturalnie jeśli ów stosunek, jaki istnieje w danym folwarku, jest powszechny. A zatem odpowiednio też może wzrosnąć ludność kraju, bo gleba ojczysta będzie dawała więcej płodów. Słowem, wprowadzenie na wieś owych motorów grozi zupełnym przewrotem i odsuwa w daleką przyszłość niebezpieczeństwo przeludnienia. Rudolf Meyer rzuca groch na ścianę, tj. probuje przemówić do junkrów niemieckich, ażeby uprzedzili amerykanów, w zastosowaniu motorów mechanicznych i tem samem umożliwili *Vaterlandowi* wzrost ludności i zarazem potęgę polityczną.

Zatrzymaliśmy się przydłużej nad wywodami, albo raczej utopiami tego pisarza, bo zastosowanie motorów mechanicznych tak jakoś odbiega od rzeczywistości dzisiejszej, że trudno pogodzić się z tą myślą. A przecież jest to rzecz zupełnie możliwa, chociaż wydaje się nieprawdopodobna, gdyż umysł nasz, przyzwyczajony do rutyny rolnej, nie może się pogodzić z myślą, że kiedyś konie i woły znikną z folwarku i że na pola będą poruszały się wozy elektryczne. Meyer jednak, który ostatnimi czasy gospodarował w Kanadzie zachodniej, tuż na pograniczu Stanów Zjednoczonych, tak oswoił się z pomysłami yanke'ów, że bez ceremonii wprowadza do swojej książki taki obraz przyszłości i bierze go za punkt wyjścia dla dalszych wywodów. Bądź co bądź, winniśmy zgodzić się chociażby na jądro tego założenia, mianowicie że koszty produkcyi zbożowej za Atlantykiem, tkwiące w narzędziu i motorze, posiadają tam większe niż u nas widoki spadku i że, co za tem idzie, współzawodnictwo zamorskie może stać się jeszcze groźniejszem. Natomiast żadne uprzedzenia nie stają na zawadzie przyjęciu drugiego założenia, mianowicie doniosłego znaczenia rozwielmożniania się w krajach ciepłych produkcyi zboża na wywóz. Taki stan rzeczy nie tylko zwiększy rozmiary dotychczasowej konkurencyi, ale również wprowadzi zgoła nowy czynnik taniości, wynikający z warunków uprawy pod niebem, nie znającem zimy. Naturalnie, da się on we znaki nie dzisiaj. Ale ekonomista powinien brać pod uwagę nie tylko czasy dzisiejsze, ale zaglądać w przyszłość i z góry odsłaniać niebezpieczeństwo, tak ukryte. Przedsiębiorca prywatny wprawdzie mało o to dba, lecz państwo, zdawałoby się, winno inaczej się zachować. Właśnie Meyer łudzi się taką nadzieją, że dadzą mu posłuch koła, mogące do pewnego stopnia kształtować historyę przyszłości.

*K. R. Ż.*

*) Nie jestem elektrotechnikiem, obawiam się więc, że może zrobię jaki błąd w przedstawieniu rzeczy, chociaż dosłownie tłomaczę opis.

## PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

— Ministeryum skarbu postanowiło zbadać stopień zanieczyszczenia głównych rodzajów zboża, wywożonego za granicę: pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia. Niedawno prace w tym przedmiocie ostatecznie skończono, przyczem badaniu poddano transporty, idące przez 17 głównych punktów granicy lądowej i morskiej. Według urzędowego sprawozdania okazuje się, iż największy procent wywozu z obcemi domieszkami przypada na Noworosyjsk, Odesę, Libawę i Grajewo. We względnie czystym stanie zboże jest wywożone z Petersburga, Berdiańska, Jelska, Mikołajewa, Mławy i Sewastopola. Co do oddzielnych rodzajów, to najmniejszy procent zanieczyszczenia wykazuje jęczmień, następnie idzie owies, żyto, a wreszcie pszenica.

— Według dzienników lizbońskich, odkryto obszerne pokłady złota w Portugalii, które podobno nabyła spółka kapitalistów niemieckich.

— Japonia toczy układy z Rosyą o odnowienie traktatu handlowego.

— Uznano za możebną szybkość minimalną dla przewozu towarów za frachtami posiesznymi 250 wiorst na dobę i za zwyczajnymi 125 w.

— Departament gospodarczy minsteryum spraw wewnętrznych wzywa gubernatorów do szybkiego wypowiedzenia zdania, o ile byłyby pożądane miejskie składy węgla, zakupionego z funduszów instytucyi publicznych, dla zapobieżenia brakowi opału i podnoszenia cen przez składników prywatnych.

## KRONIKA.

**Sprawy społeczne.** Dzienniki petersburskie donoszą, iż kuratorowie okręgów naukowych jednomyślnie zaprotestowali przeciw projektowanemu, na zasadzie nowych przepisów, powoływaniu nauczycieli ludowych do służby wojskowej.

— Rewizya wszelkich przepisów, dotyczących włościan, zacznie się w lutym r. 1895.

— Wobec znacznego procentu pożarów z podpalenia, ministeryum spraw wewnętrznych podało wniosek zwiększenia kar dla podpalaczy.

— Nowa ustawa farmaceutyczna zacznie obowiązywać od 13 stycznia 1895.

— W kopalniach szlązkich strejkuje 4,000 robotników (*Kur. warsz.*).

— W Czernichowie wydalono uczniów drugiego kursu szkoły rolniczej, z powodu wykroczeń przeciw karności. Zarządzono nowe wpisy.

**Zdrowie publiczne.** W ubiegłym tygodniu komisye sanitarne skonfiskowały w Warszawie 480 funtów ryb zepsutych i 10-ciu właścicieli zakładów spożywczych za nieporządki pociągnęły do odpowiedzialności sądowej.

— Dyrektor drogi Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie, aby na żądanie lekarzy kolejowych, jadących do chorych na linii, wszystkie pociągi towarowe były zatrzymywane przy wskazanych domkach dróżniczych.

**Sądy.** Dn. 7 b. m. ogłoszono wyrok w sprawie b. urzędników kolei Wiedeńskiej, oskarżonych o nadużycie (fałszerstwa w księgach i innych dowodach i przywłaszczenie tą drogą kilkunastu tysięcy rubli z funduszów kasy emerytalnej). Uznano winę Libenaua, Rolbieckiego, Szulca i Zawirskiego i z uwzględnieniem okoliczności łagodzących skazano: Rolbieckiego na pozbawienie szlachectwa tudzież innych szczególnych praw i przywilejów i na zamieszkanie w gub. permskiej, bez prawa opuszczania wyznaczonego miejsca pobytu w przeciągu lat dwóch; pozostałych zaś

oskarżonych na pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów i osadzenie w wieży: Libenaua na 9, Zawirskiego na 8, a Szulca na 10 miesięcy; (w zarzucie przywłaszczenia wsparcia w kwocie rs 25, wyznaczonego Wyrzykowskiej na pogrzeb ojca, Libenau został uniewinniony). Akcya cywilna zarządu kolei Wiedeńskiej zasądzona została w sumie 15,222 rs., z której przypada na Libenaua 3,126 rs. na Szulca 1,599 rs., Roibieckiego 1,512 rs., Zawirskiego 2,385 rs., a nadto na Roibieckiego wespół z Zawirskim rs. 6,600. Wyrok co do Roibieckiego, ze względu na jego szlachectwo, sąd postanowił przedstawić do zatwierdzenia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana.

**Szkoły.** Do zatwierdzenia Rady państwa ministeryum oświaty wnosi niebawem projekt utworzenia wydziału lekarskiego przy uniwersytecie w Odesie. Z początku mieścić będzie 300 słuchaczów. Wydatki wyniosą 2,000,000 rs., prócz 250,000 rs., udzielonych przez miasto i 194,542 rs. na pensye dla profesorów i inne potrzeby. Koszt budowy klinik obliczono na 1,125,000 rs.

— Otwarto w Warszawie szkołę fotograficzną dla kobiet. Oddział pierwszy: retuszowanie na szkle i papierze, kolorowanie fotografii i heliominiatur. Drugi: lekcye rysunku, malowanie na porcelanie, drzewie itd. Opłata 8 rs. miesięcznie. Całkowity kurs w 1-ym oddz. 5 miesięcy.

**Koleje i komunikacye.** Toczą się układy o zawarcie konwencyi pocztowej między Rosyą a Szwecyą.

— Postanowiono wybudować kolej nad brzegiem morza Czarnego z Noworosyjska przez Soczi, Adler, Suchum do Nowosenaki. Długość 295 wiorst, koszt budowy 17 mil. rs.

— Z Gdańska donoszą, iż przy Siedlersfähre przebito dla Wisły nowe ujście, nad którem pracowano lat kilka.

— Do komisyi naczelników służby ruchu oddano ponownie sprawę ustanowienia miejsc numerowanych w wagonach dla pasażerów, jadących daleko bez przesiadania. Numer miejsca powinien być odbijany na bilecie.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich zmniejszył znowu wysokość pożyczek na zboże o 1 kop. na pudzie; agentury w Królewcu i Gdańsku—o 3 kop. na pudzie pszenicy i żyta.

— Od Pskowa do Bologoje na wiosnę rozpoczęta będzie budowa nowej kolei.

**Posiedzenia.** Na zebraniu członków komitetu opieki nad plantacyami miejskiemi pod przewodnictwem d-ra Karola Jurkiewicza, uchwalono między innemi urządzenie dwóch nowych skwerów na Pradze.

— Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa jedwabniczego stwierdzono, że dotychczas z 19 hodowli z różnych stron kraju dostarczono 192 funty kokonów. Oczekiwana we wrześniu zwyżka cen na jedwab w Marsylii, zawiodła, wobec czego zarząd musi utrzymać ceny na kokony do końca roku bez żadnej zmiany.

**Technika i wynalazki.** Warszawianin, inżenier technolog, p. Czesław Stanisławski, zamieszkały w Moskwie, ulepszył maszynę do pisania. Udoskonalenie polega na przyrządzie elektrycznym, umożliwiającym jednej osobie robienie naraz pięciu kopii listów.

**Zmarli.** Henryk Dyrdoń, artysta malarz, w Krakowie.




Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Октября 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka Nr. 8.